





ANIOŁ PAŃSKI

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— przez —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Uwieńczona na Konkursie rozpisany przez Wgo Konstantego Zakrzewskiego.)

Patrzcie na lud ten Panu wierny,
Jaki on biedny i mizerny,
Jak on po skałach chodzi boso,
A jako lilja żyje rośną
A z jego nędzy któż wyczyta,
Jaka mu szczytna przyszłość świta,
I jakie wyjdą z tego ludu
Hetmany Boga, męże cudu?

K. Ujejski. Jan Chrzyciel.

CHICAGO, ILL.

NAKŁADEM I DRUKIEM WŁ. DYNIEWICZA

1886.

I.

Miasteczko i Rodzina.

Nasza Wisła ukochana, to rzeka nad rzekami. Bo choć woda niby wodzie równa, choć fala pędzi za falą po Wiśle, jak po innych rzekach, zawsze wielkością jak królowa nad wszystkimi panuje rzekami w polskiej krainie.

Jakoż przy niej, jak przy matce, wiele a wiele wiosek, dworów, miast i miasteczek osiadło, a ona je hojnie karmi i przyodziwa. Z niej rybak wydobywa tłuste ryby, po niej flis splawia zboża do Gdańska, kupiec spuszcza przeróżne towary; po niej płynie drzewo budulcowe, po niej nabiał, i to wszystko co się w naszym kraju rodzi. Bo też jak to mówią, dał Bóg Polsce wszystko czego trzeba: żyto na chleb, len na płótno, owce na sukna, stada do koni, kruszce do broni. Wszystko to płynie Wisłą w kraje obce i dalekie, gdzie takiego dostatku nie ma, a za to dostajemy pieniądze, wyroby fabryczne

i inne potrzebne rzeczy. Tak to dobra nasza Wisła ożywia całą pobliską siebie okolicę, zatrudnia pobliskich mieszkańców, uczy ich pracować i chwalić Boga.

Otóż nad samą rzeką leżało małe ale schludne miasteczko Góra. Zasiadło ono sobie między ogrodami, rolami i łąkami; rozłożyło się na pagóreczku białe i świejące, jakby chciało wygodnie się przeglądać w ślicznej wodzie, jakby chciało z daleka przybywających flisaków albo witać życzeniem dalszej szczęśliwej drogi, albo przyjmować przybijających do brzegu i gościć tem, czem bogate.

To też i chętnie stawały w Górze szkuty i czajki; można tu było wygodnie wypocząć, uczciwie zabawić się i wesoło puścić w dalszą drogę. Gospodarze byli sobie od dziada pradziada poczciwi Polacy; gościnność i rzetelność były u nich świętymi cnotami; a chociaż nie podejmowali za darmo, to jednak nie zdzierali z przybywających, jak to mówią, ostatniej koszuli, ale rzetelnie i sumiennie żywność i napoje sprzedawali, tak że był wilk syty i koza cała. W tem to miasteczku między innymi gospodarzami mieszkał i Stefan Berdysz. Miał on nad samą rzeką porządny dom i zabudowania gospodarcze. Dom jego, gontami pobity, z bia-

łym kominem, z dużemi a świecącemi oknami, zbudowany był na wysokim brzegu, spuszcającym się zwolna aż do Wisły — otoczony parkanem z bramą i uliczką.

Wszedłszy na dziedziniec, spostrzegłeś na samym środku gołębnik, z którego dolatywało twoich uszu łube gruchanie gołąbków; — przed drzwiami wchodowymi ganek na czterech słupach z ławkami do siedzenia; dalej po lewej stronie stały studnia i wozownia, po prawej zasieka, a wszystko tak czyste, tak chędogie, jakby dziś pobudowano. Zielona murawa rozścielała się po całym dziedzińcu, zostawiając tylko dla wozów drogę naokoło wolną. — Za domem był ogród podzielony na dwie części. Tuż przy domu był sad wielkich owocowych drzew; tu najszlachetniejsze stały jabłonie i grusze, ówdzie śliwy, dalej wiśnie i czereśnie. Druga część ogrodu za sadem służyła za ogród warzywny, zajmowały go to grzędy kapusty i marchwi, to bób, groch i fasola, to ziemniaki czyli perki, to pstry mak, to ogórki, — tak że ani piędź ziemi nie próżnowała, ale wszystko było obsiane i obsadzone.

W sadzie pod samym domem było jeszcze jedno miejsce — nad wszystkie najpiękniejsze. Była to altanka. Ale jaka? Nie z desek przez

cieśnię zbudowana, nie z chróstu pleciona, nie powojem obrosła — o nie! była to wielka, szeroka altana, którą tworzyły cztery staruchny, to jest cztery lipy rozsochate, co razem może miały z jakie lat tysiąc, a konary tak wielkie, jakby całe drzewa, a roztaczały je tak szeroko i dawały tak miły cień, toż podczas kwitnienia taką woń cudowną, że aż miło było oddychać. Zaprawdę, tylko sam Bóg takie altany stawiać może, nadając naszym lipom taki wzrost wspinały, liść tak gęsty i woń tak lubą. Pod temi lipami stał stół wielki, okrągły, a w koło niego były kanapki z darni. Tu podczas skwaru słonecznego siadali mieszkańcy domu, tu przyjmowali często znajomych i sąsiadów; tu nawet podczas deszczu pod gęstą zasłoną lipowych liści, jak pod dachem pracowali, rozmawiali modlili się.

Na najstarszej lipie zwanej prababką, na sążę od ziemi znajdował się obraz Matki Bożkiej Częstochowskiej w prostych czarnych ramach, zawieszony jeszcze przez dziada Stefanowego; przed obrazem co sobota gorzała lampka. Pod nim w pniu, gdybyś się dobrze przypatrzył, ujrzałbyś małe zagłębienie, a raczej dziurę.

W tej dziurze ugrzęzła była kula szwedzka, która miała odebrać życie dziadkowi, wystrze-

lona przez rozjuszonego Szweda, któremu w plądrowaniu opór stawiał dzielny Bartłomiej Berdysz. Na tę to pamiątkę ocalenia swego życia założył on na wieczne czasy skromny ten ołtarzyk.

Za lipami o kilka kroków na uboczu był grób. Płytkami kamiennymi z krótkim napisem i z rokiem 1656 przykrywał zwłoki jakieś. Spoczywał pod nią właśnie ów Szwed — powalony przez Bartłomieja ostrym berdyszem.

Pan Stefan, obecny dziedzic, mężczyzna w sile wieku, był sobie, jak mówiono, nieco rubasznym, często zamyślonym, jednakże wszyscy go kochali, czcili i poważali, rad jego słuchali i na jego sąd się zdawali. Powierzchność jego nie bardzo była miła, bo mimo wysokiego, białego czoła, niebieskich jasnych oczu i pięknych czarnych długich włosów, sumiastego wąsa — miał on na ogorzałej twarzy głęboką i długą bliznę od ucha lewego aż do ust, która nadawała mu wyraz groźny i wojowniczy. Wzrostu więcej niż średniego, barczysty i żyłasty, chodził zwykle trochę pochyło, a tylko wtedy, gdy coś niezwykłego usłyszał, prostował się.

O tej kresie na twarzy pana Stefana różni różnie mówili, lecz bliżsi jego znajomi i starsi

powtarzali sobie następujący przypadek:

Kiedy pan Stefan był młodym, ot tak przed trzydziestu laty, a był on jedynakiem u swoich rodziców, ojciec jego i matka spostrzegli, że od pewnego czasu nagle stał się tajemniczym, zamysłonym, krył się przed matką wypytującą się o przyczynę. Aż jednego ranka, gdy rodzice się zbudzili i zajrzeli do jego alkierza, nie znaleźli syna, a pościel była nietknięta. Przepadł gdzieś i długo nie powracał. Matka płakała, ojciec szukał, dopytywał się, lecz niczego się nie dowiedział. Spostrzegł tylko, że mu jednej kosi brakło. Zadumał się, łza mu się zakręciła w oczach, westchnął, przyszedł do żony i rzekł:

— Wiem już teraz, gdzie nasz Stefan! — i długo coś szeptali oboje, a potem oboje uklękli i modlili się.

Minął rok z górą, a Stefana nie było.

Aż razu jednego, gdy oboje późno wieczorem siedzieli sobie zadumani, zapukał ktoś do drzwi i wszedł — Stefan. Zerwali się rodzice, poskoczyli ku niemu, on im padł do nóg i zawołał:

— Przebaczcie mi, kochani rodzice!

Ojciec go podniósł, uściskał, a ujrzawszy na jego mężnej twarzy ogromną kresę, uściśnął

go powtórnie i kresę tę długo, długo całował; i matka potem ze łzami tę bliznę całowała.

A dziś po śmierci rodziców żona jego nieraz tę ranę całuje, jakby jaką świętą pamiątkę. A domyślacie się też, z kąd była ta blizna i czemu ją tak całowano.

Odtąd Stefan nie wydalął się z domu; czasem tylko, a było tego raz do roku, bywał w Warszawie po sprawunkach dla rodziców, lecz zawsze zamtąd smutny i rzewny powracał, bo jakieś okropne rzeczy tam sobie przypominał; więc też i rodzice niestawiali na niego, by tam chodził. Osiadł tedy przy rodzicach i dopomagał im w gospodarstwie. Ojciec jego i matka mając syna jedynaka, radziby byli widzieli, żeby się ożenił i gospodarstwo objął. A choć mu tego wyraźnie nie mówili, rozumiał Stefan ich myśli. Obejrzał się tedy po dziewczętach i najlepiej mu się spodobała Zofia Hrubieszówna, córka tamecznego gospodarza, bo była pobożna, cnotliwa, cicha, gospodarna i kochała swoich rodziców. Może być, że i dla imienia swego Hrubieszówna podobiała się Berdyszom, gdyż Stefan na św. Zofią w Maju był powrócił do rodziców.

Pewnego razu, a było to na święty Jan Chrzciciel, całe miasteczko wieczorem wysypało

się nad Wisłę, mężczyźni i niewiasty, starcy i młodzi, i gwarzyło to wszystko, śmiało się radowało.

Łódki i większe czajki, napelnione młodzieńcami i dziewczętami, odbijały od brzegu. Ustawiwszy się szeregiem w poprzek rzeki, młodzież zanuciła pieśń jaką starą i znaną; w tej chwili spadły na rzekę tysiące wieńców, a na każdym wieńcu gorzało światełko.

Cudowny to był widok; zdawało się jakoby Wisła się paliła jakoby się przemieniła w ogród najpowabniejszych kwiatów. I płynął ten ogród i płynął, a każdego oko ścigało swój wieniec.

Na jednej z tych czajek czyli łodzi stał Stefan z Zofią; i oni puścili po wieńcu na wodę i patrzeli na nie. Wieńce ich jak inne płynęły z początku jeden od drugiego oddalone, później jakby ręką cudowną pchnięte zbliżały się i zbliżały, aż się wreszcie zetknęły, a dwie ich świece zapłonęły w tej chwili wielkim płomieniem, że wszystkich oczy na się wróciły. — Była to dobra wróżba.

Jeszcze do późna w noc trwały te narodowe zabawy, śpiewy i opowiadania; potem wszyscy z różnemi myślami rozeszli się do domów.

W trzy tygodnie potem Zofia była żoną Stefana.

Rodzice oddali im całe gospodarstwo, a że Bóg im błogosławił, więc dobrze im się wiodło; mająteczek rósł i małe dziatki, które im Bóg dał, zdrowo, bogobojnie i uczciwie się chowały.

Przeszedł na koniec czas i na rodziców jego.

Z błogosławieństwem na ustach dla dzieci i wnuków opuścili tę ziemię. Bolał Stefan z żoną i dziećmi nad ich utratą, ale z wolą Boga się zgodziwszy, zaczął dalej pracować.

W Górze był kościółek, a przy nim szkołka.

Kościółek ten mały był wprawdzie, lecz murowany, blachą pobity, ubielony, a przy nim dzwonnica, zwołująca pobożnych chrześcian na ranne, południowe i wieczorne modlitwy. Przy kościółku była plebania. Proboszcz już w siódmym krzyżyku, z siwiejącym włosiem, lecz czerstwy i rażny, prawdziwy sługa Boży, kochany był i w samem miasteczku i w okolicy jak ojciec. Bo też niejeden tak zbawienne odbierał od niego nauki, jakby z św. Ewangelii czytane; niejednego zatwardziałego grzesznika nawrócił, niejedno małżeństwo pogodził: a tak jakoś od serca przemawiał do każdego, że zawsze do serca trafił, zawsze przekonał. Bo też zrodzony na

tej ziemi, znał potrzeby swoich owieczek, wiedział o ich smutkach, troskach i boleściach. Więc też umiał pocieszyć, pogodzić i poradzić.

Ótóż do tego księdza proboszcza, a nazywano go po imieniu księdzem Wojciechem, często udawał się Stefan po radę, kiedy mu chodziło o dobrą naukę i o wychowanie dzieci; bo też ks. Wojciech jemu i jego Zofii dawał ślub i ochrzcił im troje dzieci. Co święto tedy i co Niedziela po Mszy świętej Stefan zwykle chodził do plebanii, a pomówiwszy ze staruszką słów kilka, zasięgnąwszy jego rady, wracał wesół i zbudowany do siebie. Nieraz i dziatki brał z sobą do niego, a za każdą razą uradowane wracały do księdza Wojciecha — a w domu matce opowiadały, jak to ksiądz proboszcz je pogłaskał i pochwalił za pilną naukę, jak to piękne obrazki lub książeczki im darował.

Nawzajem i Stefana ksiądz proboszcz wysoko sobie cenił za to, że rządził się dobrze, żył sobie pocziwie, a nawet ufundował na parafii szczytliwego swego powrotu z wojny ołtarz z obrazem świętego Szczepana, swego patrona.

Była też w Górze szkoła, którą sami mieszkańcy własnym kosztem wybudowali i utrzymywali; a przy tej szkółce był nauczyciel pole-

cony im przez księdza Wojciecha, którego także sami utrzymywali. Bo mówili sobie, że człowiek nie na to tylko stworzony, aby jadł, pił i spał jak bydlę, ale aby się uczył i Boga chwalił i z ludźmi żył; więc też nie żałowali kosztów na to, aby dzieci ich w miejscu dobrą mogły naukę pobierać.

Nauczyciel, człowiek już w wieku statecznym, lecz młodszy od księdza Wojciecha, wypełniał tak swoje obowiązki, że każdy mógł widzieć, iż nauczanie i wychowanie dzieci było jego najulubieńszem zatrudnieniem. To też i rodzice i dzieci kochali go jak ojca. Często widziano go, jak otoczony ciekawą dziatwą na przechadzkach opowiadał jej różne a różne dzieje, a dzieci tak je sobie pamiętały, jakby ich się z książki były uczyły. I mówiono, że na tych przechadzkach wiele a wiele rzeczy pożytecznych nauczał: opowiadał chłopaczkom o Ojczyźnie, o przodkach, o wojnach, które nasz naród staczał z wrogami, o naszych dzielnych rycerzach bohaterach; pokazywał i kamienie, muszki, chrząszcze i inotyle, powiadał, jak się wszystkie zowią i na co się przydadzą; a kiedy przechadzka pociągnęła się czasem aż do wieczora, to im opowiadał dziwne rzeczy o tych świecących gwiazdach, co je Bóg wszechmogący na

niebie osadził. I któżby takiego człowieka nie kochał? któżby takiego nauczyciela nie uwielbiał?

Między wszystkimi chłopcami, co u niego pobierali naukę, jeden był najciekawszy i najchętniejszy do nauki, najwięcej się wypytywał i najlepiej wszystko pamiętał. A był to Kazimierz Berdysz, syn starszy Stefana. Dzielny to był chłopaczek aż miło spojrzeć na niego; czapeczka na bakier, żupanik paskiem ściśnięty, szarawarki szerokie, buciki fałdziste, twarz rumiana, oczy jasne, błękitne, włos czarny, długi. — istny obraz ojca; brakło mu tylko owej kresy przez twarz.... Lecz któż wie, do czego jeszcze Opatrzność Bożka go przeznaczyła!?

Takie to było to miasteczko Góra, tacy w niem mieszkańcy, taki pan Stefan i jego rodzina, taki ksiądz Wojciech i nauczyciel.

Ale cóż? Czas nie stoi, lecz szybko się toczy; jedni się starzeją, inni podrastają, a wszystko się przemienia. Zobaczymy więc teraz, co się dalej z naszymi znajomymi działo.

II.

Wychowanie Kazimierza.

Pan Stefan i Stefanowa oprócz najstarszego Syna Kazimierza mieli jeszcze córkę młodszą Jadwigę i maleńkiego synka Tadeuszka, który dopiero uczył się chodzić i zaczynał szczebiotać „mama i tata.”

Jadwiga dziewczynka jak malina, mająca już lat dziesięć, chodziła do szkoły panieńskiej, uczyła się tam potrzebnych dla dziewcząt wiadomości, a w domu pomagała matce w gospodarstwie. Nieraz matka już powierzała jej klucze od komory, ojciec nosił już szkarpetki jej rękoma robione; umiała przyrządzać niektóre potrawy, i wywieżywała się już w tak młodym wieku bardzo ładnie ze swego długu wdzięczności ku rodzicom. Z resztą pobożna, posłuszna, skromnie a chędogo się ubierając, zwyczajnie w gorseciku błękitnym, a z warkoczami na tył spuszczonemi, rosła ku pociesze ludziom i Bogu.

Kazimierz, jak wiemy, także chodził do szkoły; lecz ojciec poradziwszy się księdza Wojciecha i nauczyciela, spostrzegł, że jego chęć do nauki, jego bystrość potrzebowała więcej, niżeli szkoła miasteczka dać mu mogła. Ksiądz Wojciech też w tej naradzie powiedział ojcu wielkie i prawdziwe słowa: „Kiedy ma zdolności i chęć do nauk, to niech się uczy, niech się uczy, bo nauka zbliża człowieka do Boga.”

Jedni więc mówili Stefanowi, by Kazimierza oddał do szkół wyższych w Warszawie, inni radzili, by go przynajmniej wysłał do powiatowej szkoły, inni, a między tymi i nauczyciel, radzili, by go zatrzymał w domu i tu mu potrzebnych nauk udzielać kazał.

Wiedział to Stefan dobrze, że im człowiek więcej posiada prawdziwej nauki, tym lepszym się staje; więc też ani się wahał, kazał Kazimierza dalej uczyć. Jednakże do Warszawy posłać go nie chciał, bo to i dużo kosztowało — a jakkolwiek Stefan nie był bez grosza, przecież miał dość liczną rodzinę, której utrzymanie wymagało także wielkich wydatków; a potem i dla tego, że to chłopaczek był jeszcze młody, matka na samo wspomnienie o rozłączeniu się z najstarszym synem zalewała się łzami, Jadwiga na wzmiankę o jego odjeździe bardzo smutne miała

oczęta, i sam Stefan przykre jakieś z dawniejszych czasów miał wspomnienia, i nie miał wielkiej chęci wysłania tam swego chłopca. To też gdy nauczyciel, który był człowiekiem biegłym w swoim zawodzie, oświadczył, że się podejmie Kazimierzowi udzielać potrzebnych nauk, z chęcią przystał na to Stefan i Kazimierz pozostał w domu. Matka i siostra uradowały się niezmiernie, kresa Stefana odebrała kilka pocałowań od żony i od drobnej Jadwisi....

Rozpoczęły się więc nauki. Posprowadzano z Warszawy ładne książki, mapy, globusy, toż inne zajmujące rzeczy. Kosztowało to nie mało, lecz nauka „zbliża nas do Boga” pomyśleli rodzice i ani im na myśl nie przyszło żałować wydanych pieniędzy. Zaniesiono to wszystko do pomieszkania nauczyciela, bo tam Kazimierz się uczył. Nauka zaś nie szła tak, aby z niej Kazimierz zdawał tylko popis lub tylko w zaświadczeniach odbierał piśmienne pochwały; lecz tak była ułożoną, aby Kazimierz doszedłszy do lat, mógł z niej mieć pożytek, tak na ciele, jak na duszy.

Kazimierz teraz więcej przesiadywał u nauczyciela niż u rodziców, a przyszedłszy do domu opowiadał o różnych pięknych rzeczach, tak że Jadwiga godzinami słuchała go z ciekawością,

a mały Tadeuszek z otwartemi ustami i zdziwionemi oczyma, stał przed mądrym swoim bratem.

Ładnych bo i użytecznych rzeczy uczył się Kazimierz. Poznał, że ziemia, po której chodził, nie jest tak płaską, jak mu się zawsze wydawała, ale że jest jakby jaka ogromna okrągła bania, że unosi się w powietrzu i że jej nikt wcale nie powstrzymuje, oprócz wszechmocnej ręki Bożkiej — że po tej ziemi płyną różne tysiączne rzeki i strumyki, pod różnemi nazwami, i wpadają do różnych mórz; że wznoszą się na niej pagórki i tak wysokie góry, że na nich śniegi i lody nigdy nie topnieją; poznał dalej różne ludy i narody; poznał, z jakich to krajów i ziem własna jego Ojczyzna się składa; dowiedział się, jakie to w niej są obyczaje, jaka religia; nauczył się dobrze mówić i pisać pięknym a bogatym swym językiem. Rozповідаł tedy w domu że ta kula ognista, co się słońcem zowie, jest tak wielka, że gdyby była próżna, toby cała nasza ziemia w niej tak wygodnie i swobodnie mogła się kulać jak ziarno grochu w wielkiej bani.

Ale najlepiej lubił i umiał opowiadać Kazimierz o dziejach swojego narodu: o Piaście, co to z rolnika został królem polskim, o Bole-

sławie Chrobrym, co to miecz swój wyszczerbił na Złotej bramie w Kijowie; o Kazimierzu Wielkim, co to królem chłopków był zwany; o Władysławie Łokietku, co to był tak mały jak niby wielki łokieć, ale tyle wielkich rzeczy zdziałał i tak mężnie wrogów bił, żeby tego i na wołowej skórze nie spisał; o Władysławie Jagielle, co to wprzód Litwin i poganin, ożeniwszy się z naszą polską królową Jadwigą, połączył Litwę i Ruś z Polską, i stał się gorliwym katolikiem;... i opowiadał tak bez końca. Opowiadał także rzeczy nowsze o Konfederacyi Barskiej, o Kościuszcze, o szewcu Kilińskim, co to został pułkownikiem, o jenerale Dąbrowskim, — o Wielkim Księciu Konstantym i o jego szkole podchorążych. Opowiadał ci także o rzeczach smutnych, ale miał w Bogu nadzieję, że kiedyś lepiej będzie. A przy tych opowiadaniach tak mu się oczy iskrzyły, tak czasem pięści zaciskał, tak łzami się zalewał że ojciec, który często był przytomny tym opowiadaniom, na żonę spoglądał, a Bogu dziękował, że go takim synem obdarzył.

A kochany nauczyciel umiał tak doskonale pokierować Kazimierzem, że ile ziarenek nauki posiał, tyle się też i przyjmowało w jego sercu.

Postępował Kazimierz tym sposobem w latach i nauce. — Wziął się potem do nauki o różnych zjawiskach w przyrodzeniu, zastanawiał się nad tem, z kąd się biorą gromy, deszcze, śniegi, grady; z kąd noc a dzień; dowiedział się też, co to machina parowa, dla czego balon wznosi się w górę, a dla czego każdy kamień podrzucony napowrót na ziemię spada; dowiedział się, co to telegraf i te różne dziwne rzeczy, na które człowiek nieświadomy patrzy, jakby na cuda jakie, nie umiejąc sobie ich wytłómaczyć.

Wielką to pocziwym rodzicom sprawiało pociechę. — Ale co ich, a szczególnie czcigodnego księdza proboszcza jeszcze więcej cieszyło, to że choć wszystkich rówienników swoich prześcignął w naukach, i choć daleko, daleko więcej od nich wiedział, nie stał się przecież zarozumiałym i dumnym. Chętnie z nimi przebywał i uprzejmie im na ich zapytania odpowiadał; tak jak nauczyciel jego, tak on ich oświecał. Dla tego też wszyscy, starsi i młodzi w miasteczku bardzo go kochali.

Co niedziela i co święto bywał w kościółku i księdzu Wojciechowi służywał do mszy świętej, bo wiedział, że dawniejszemi czasy wielcy nawet panowie nasi, książęta, a nawet

sami królowie z pokorą wielką służyli nieraz prostemu księdzu przy ofierze świętej, wiedział też, że Polacy religią swoją i święte jej obrzędy najwyżej sobie zawsze cenili, że w jej obronie krew obficie przelewali, i na polu bitwy ginęli.

Ależ miałci on także w swoich rodzicach najlepszy przykład, jak to należy zachowywać swoją wiarę, jak utrzymywać drogie od przodków nam przykazane staropolskie obyczaje. Wyssał on to z mlekiem matki, i chyba śmierć jedna mogłaby go była od tego oderwać.

III.

Imieniny Stefana.

Ale Kazimierz oprócz nauki trudnił się także innemi rzerzami: miał też swoje zabawy, bo nie podobnaby mu było uczyć się bez wytchnienia.

Spostrzegli rodzice, że w pewnych dnia godzinach Kazimierz w kąciku sobie siadał, a trzymając w ręku kawałek drewna czy korzenia, nożykiem swoim ciągle strugał i strugał, i krajał i obracał; a tak się w swojej robocie zatapiał, że ani uważał na to, czy kto na niego patrzył lub nie. Ot! pomyśleli sobie rodzice — kraje sobie patyczki, jak to chłopcy lubią — i nie zważali na to. — Dłubał zaś sobie z początku tak w izbie, później najczęściej pod lipami w ogrodzie. Matka ze siostrzyczką były wtedy zwykle zajęte gospodarstwem domowem, ojciec miał też swoje zatrudnienia, tylko mały Tade-

uszek towarzyszył Kazimierzowi i przypatrywał się ciekawie temu struganiu i dłubaniu.

Nadeszły tymczasem imieniny ojca Stefana.

Ojciec jeszcze dobrze spał nad rankiem, aż tu na palcach po cichuteńku, tak że nikt nie dostrzegł, zbliża się Kazimierz do jego łóżka, stawia coś w ładnem pudełeczku na stoliku. Ubiera się potem czysto i czeka, aż wszyscy się nie pobudzą.

Budzi się Stefan, przeciera oczy, żegna się znakiem krzyża świętego, a odmówiwszy zwykłą swą poranną modlitwę — nagle spogląda na stół, i widzi pudełko, jakiego przedtem w domu nie było. Bierze, otwiera i znajduje śliczną drewnianą tabakierkę, a na niej misternie wyrzniętego Krakusa z bronią, z zamaszty-
stym wąsem, z kresą przez twarz od lewego ucha aż do ust. Ze zdziwieniem przypatruje się Stefan tej sztucznej robocie — dziwne przypomnienia i myśli z czasów ubiegłych stanęły mu przed oczyma, przyszła mu na pamięć owa noc, w której on swoich rodziców opuścił, i owa, w której ot z taką kręszą powrócił, — kiedy naraz z drugiej izby wysunęła się jego żona, Jadwisia i mały Tadeuszek, a każde z życzeniem, każde z uściskiem, każde z ucałowaniem drogiej, spracowanej ręki swego małżonka i ojca. Z ty-

łu za wszystkimi stanął nieśmiały Kazimierz. Ze łzami w oczach ścisnął Stefan kochaną żonę i drogie dzieci, dziękował im za życzenia; aż w końcu zapytał się, wskazując na owo pudełko, co by ono miało znaczyć i kto je tu postawił?

Stefanowa zdziwiona wzięła tabakierkę do rąk, przypatrywała jej się i rzekła:

— Wszak to twój obraz, Stefanie!

Jadwisia zawołała:

— Ach to tata! prawdziwie tata!

A tłusciuch Tadeuszek, przystawiwszy stoleczek pod krótkie nóżki, patrzył z uśmiechem na Krakusa, pokazywał na swoim policzku niby kreś, powtarzał potakując główką bardzo rozumnie: „tata, tata!”

Stefan znów się odezwał: — Powiedzcież mi przecie, zkąd to się wzięło? — Wtedy dopiero Kazimierz nieśmiało odrzekł: — kochany tato! to ja tu położyłem jako wiązarek na twoje imieniny. —

— A zkądżeś miał pieniądze?

Zarumienił się tedy Kazimierz, jakoby ze wstydu i odrzekł nieśmiało: — Nie kupowałem tego, sam robiłem wszystko.

Dopieroż to wszyscy osłupieli: jeden tylko Tadeuszek temu się nie dziwił, ale ile mu tam

jego niewprawny języczek pozwalał, wołał:—Kazio — tam — pod prababką — i nie stało biedaczkowi słów; lecz wnet poradził sobie, poskoczył, chwycił nóż i kawałek drewna, i pokazując, jak to Kazimierz wyrzynał, powtarzał: — o — o — Kazio, — tak — o tak — i wziął swoją chusteczkę, zaczął niby polerować to swoje drzewienko, i wołał: — o — o — Kazio — tak, — o tak, — i maczał chusteczkę i szorował, i tarł drewno, aż rzeczywiście się wygładziło nieco, i zaczęło nabierać trochę połysku; wtedy uradowany, podniósł drewno do góry, i wołał: — ot Kazio tak robił! —

Nastąpiły więc radosne wypytywania — i dowiedziano się, że Kazimierz już od dawna zaczął nożykiem wystrugiwać różne rzeczy, że widząc to nauczyciel, sprowadził mu do swojego domu toczydło i kilka prostych narzędzi tokarskich, jako to dłótko, świderk i nauczył go polerować drzewo; — że Kazimierz umyślnie z tem się ukrywał, aby ukochanemu ojcu zrobić niespodziankę. Przyznawszy się teraz do wszystkiego, pobiegł pędem do mieszkania nauczyciela i każdemu z rodzeństwa przyniósł coś z swojej roboty: dla matki ładną doniczkę z wyrzniętymi liśćmi, dla Jadwisi pudełeczko do kłębka, dla Tadeuszka dziewięć kręgów i dwie kule.

Było tedy radości, krzyku i hałasu co nie miara, a najwięcej turkotu narobił Tadeuszek swemi kręglami, bo chciał koniecznie palnąć tego króla kręglowego.

Kiedy potem przyszli sąsiedzi i znajomi Stefana, dalej nauczyciel i ksiądz Wojciech: dopiero to Kazimierz rósł z radości, bo ojciec każdemu pokazywał misterną tabakierkę. Każdy ją oglądał, każdy chwalił ładną robotę i przywiązanie do ojca, każdy życzył Stefanowi, żeby mu Bóg dozwolił długo a długo cieszyć się tak dobrym synem.

Ale ksiądz Wojciech jeszcze coś więcej powiedział.

Kiedy się goście porozchodzili, zawołał on z nauczycielem ojca Stefana i matkę do osobnego pokoju, i tak im powiedział:

— Dał wam Bóg syna, panie Stefanie, bardzo dobrego. Jak mi pan nauczyciel mówił, uczy się on nadzwyczaj chętnie i dobrze. Od czasu jak rozpoczął nauki, wiele, bardzo wiele już skorzystał. Trzeba teraz pomyśleć o tem, coby z nim dalej począć. Posiada on już tyle wiadomości, ile mu w jego stanie potrzeba. Gdybyście bez pokrzywdzenia drugich dzieci mogli wysłać go do szkół wyższych, byłoby to może bardzo dobrze; lecz pamiętać trzeba, że

wielka nauka nie zawsze jest wielkiem szczęściem. W stanie średnim, mieszczańskim, byleby człowiek miał uczciwe jakie zatrudnienie, i to bez wielkiej nauki może dla siebie i dla dobra Ojczyzny zbawiennie pracować. Kazimierz sam wam pokazuje, jak go dalej macie pokierować. Ta tabakiera, zrobiona na wasze imieniny, te zabawki inne, które prawie sam z siebie bez żadnej obcej nauki porobił, okazują, że byłby z niego dzielny tokarz, gdyby się dostał w ręce uczciwego i biegłego majstra. Mam w Warszawie znajomych, a jeśli się na tę moję radę zgodzicie, to wyślemy go za łaską Bożą w naukę do stolicy, a potem jak tego będzie potrzeba, może jeszcze gdzie dalej. Rzemiosło dobrze prowadzone jest zatrudnieniem uczciwym i korzystnem, jest majątkiem w ręku rzemieślnika i przysparza bogactw całemu krajowi. Niech więc idzie w świat, — taka moja rada.

Na te słowa księdza Wojciecha ojciec i matka posmutnieli, bo pomyśleli, że trzeba im będzie się rozstać z drogiem, ukochanem dzieckiem; ale wreszcie znając księdza Wojciecha i wiedząc że tylko ich dobra pragnie, choć z bólem serca, zgodzili się na radę jego, a Stefan odrzekł:

— Widzę ja to, że syna ciągle w domu

trzymać nie mogę, anim nie powinien, bobym mu zagroził dalszy jego los. Niech więc idzie w świat, niech go pozna. Staraliśmy się go tak wychować, jak Bóg przykazał; z pomocą waszą, wielebny ojcie Wojciechu, i pana nauczyciela, staraliśmy się wpoić głęboko w sercu jego zasady świętej naszej katolickiej religii, zaszczerpić w nim miłość dawnych naszych staropolskich obyczajów, a szczególnie zamilowanie do naszej pięknej mowy polskiej; nauczyliśmy go czcić i szanować przeszłość naszą, a wierzyć w przyszłość. Myślę że świat, w który go teraz posłamy, nie zepsuje go, i że potrafi skutecznie odpierać wszelkie pokusy, nowości i obczyzny. W imię Boże niech idzie za waszą radą.

— Ma on już siedmnasty rok, jest zdrów, silny, praca nie będzie mu trudną, on i my będziemy musieli na chwilę się posmucić, bo i którzy rodzice chętnie puściliby od siebie takiego syna? Lecz niech tak będzie, jak dla niego dobrze. Może Bóg wszechmocny dozwoli, że go kiedyś zobaczę tęgim rzemieślnikiem, i że razem z moją Zofią na stare lata nasze bezpieczny i spokojny u niego znajdziemy przytułek.

Tak mówił ojciec. Ale matka!... Matka biedna łzami zalane miała oczy. Serce jej ści-

snęło się na wspomnienie o rozłączeniu się z Kazimierzem.

Wyjąknęła tylko to zapytanie:

— Kiedyż to nas ma opuścić?

Widząc ten smutek ksiądz Wojciech, zrozumiał, co serce matczyne cierpiało i rzekł:

— No, no, wiem ja że matce ciężko rozłączyć się z synem, ale ot, jam stary jak grzyb, a mam nadzieję w Bogu, że mu jeszcze za waszem błogosławieństwem ślub będę dawał. Ot, co tam płakać! radujcie się, że z Kazimierza dobry chłopiec, i że da Bóg stanie się jeszcze lepszym. Zresztą nie odjedzie on tak zaraz, poczekamy jeszcze z pół roku; on tymczasem pokończy potrzebne nauki, ja się w Warszawie rozpytam o porządne dla niego miejsce, wy przygotujecie mu trochę bielizny, odzieży i czego tam jeszcze będzie potrzeba... a potem w Imię Boga i Maryi dalej w drogę do roboty! będzie to wszystko dobrze.

Ucałowali wszyscy ręce czcigodnego starca, pożegnali nauczyciela, odprowadzili ich za fórtkę, i wrócili sami do domu.



IV.

Wyprawa do Warszawy.

Po tym dniu pamiętnym w domu Stefana zaszły pewne zmiany.

Kazimierz wiedząc, że wkrótce ma opuścić dom rodzicielski i udać się do Warszawy, by rozpocząć nową dla siebie naukę tokarstwa, w dwójnasób natężał uwagę i przykładał pilności do ukończenia nauk udzielanych mu przez nauczyciela. Prócz tego kupił mu ojciec książkę o tokarstwie z opisem pewnych narzędzi do tego rzemiosła potrzebnych. Nad temi książkami przesiadywał Kazimierz godzinami, uczył się ich i znał prawie już wszystko, co tokarz wiedzieć powinien. Brak mu tylko było wprawy i ćwiczenia, czego wszystkiego miał się w Warszawie nauczyć.

Tymczasem Stefan, o ile mu gospodarstwo i domowe zatrudnienia dozwalały, odwiedzał

księdza Wojciecha i nauczyciela, zasięgając ich rady, coby jeszcze wypadło uczynić. I tak będąc właśnie razu jednego u księdza proboszcza, z radością dowiedział się od niego, że właśnie odebrał wiadomość z Warszawy, iż pewien godny a w swoim rzemiośle bardzo biegły majster tameczny, pan Karol, chętnie przyjmie Kazimierza w naukę.

Stefan natychmiast pospieszył z tą wiadomością do domu. Uspokoila się tem nieco biedna matka, wiedząc teraz, że jej Kazio w dobre będzie oddany ręce. Odtąd wraz z Jadwigą siadały po całych dniach, to szyjąc bieliznę, to robiąc szkarpetki na wyprawę dla Kazia, przy czem czasem obie popłakały i pocieszyły się nawzajem.

A kiedy Kazimierz przychodził do domu, natenczas matka czule go uściskawszy, starała się go przygotować do wyjścia w świat, wpajając w niego przywiązanie do wiary świętej i zamięłowanie wszelkich cnót, przedstawiając mu za przykład dawną naszych przodków czystość obyczajów, a szczególnie poczciwość własnego ojca, który i młodość przykładnie i świątobliwie spędził, i w późniejszym życiu nigdy nic takiego nie uczynił, coby go łaski Bożkiej pozbawić i w oczach ludzi niesławą okryć mogło; który

wiernie trzymając się obyczajów ojczystych, nigdy żadnej obczyzny nie przyjął, nigdy na żadne bezdroża nie zboczył.

Słuchał przestroóg tych Kazimierz z uwagą i nabożeństwem, a wysłuchawszy, czule matce dziękował i uspokajał ją zaręczeniem, że starać się będzie wyrównać we wszystkim swemu ojcu.

Stefan znów ze swej strony zawołał krawca i kazał dla Kazimierza zrobić nowy żupanik, czamarkę i inną potrzebną odzież; kupił mu też czapkę z obszyciem bobrowem. I tak każde z swojej strony przygotowało co mogło na wyprawę.

Nareszcie nadszedł dzień, w którym Kazimierz miał odjeżdżać z ojcem do Warszawy. Wóz był już przygotowany, konie jeszcze dogryzały wieczornego obroku, matka i Jadwisia wcisnęły każdą po placuszkę w torbę, Tadeuszek całą swoją kromkę chleba z masłem, którą był dostał na podwieczorek, także do torby Kazimierzowej wsunął: kiedy w tem otwierają się drzwi i wchodzi ksiądz Wojciech z nauczycielem.

Ksiądz Wojciech wszedłszy do izby i pochwaliwszy Pana Boga, obejrzał się naokoło i wesóło rzekł:

— Ho! ho! to tu widzę ledwie żeśmy za późno nie przyszli! To już wszystko przygotowane? Oto chciałem Kazimierzowi dać list do mego znajomego pana Andrzeja; niech go odwiedzi, a znajdzie u niego dobrą radę i przyjemną rozrywkę. Oto list!

A nauczyciel rzekł:

— I ja daję ci tutaj list do mego przyjaciela dawnego, a teraźniejszego profesora przy szkole rzemieślniczej, pana Ignacego; będziesz u niego dobrze przyjętym, będziesz mógł uczęszczać na jego wykłady, i tam niemało dla siebie korzystać.

Podziękował Kazimierz, podziękowali rodzice za taką życzliwość i szczerą opiekę nad ich synem.

Wreszcie rzekł do Kazimierza ksiądz Wojciech:

— Drogi mój Kazimierzu! Do Warszawy ztąd wprowadzie niedaleko, ale Warszawa wielkie miasto, są tam dobrzy ludzie i źli; z dobrymi się łącz a złych unikaj. Jednakże złych ludzi nie zawsze możesz poznać. W niepewności więc, czy co dobrego ci radzą, czy też do złego kuszą, pytaj się samego siebie: Czy uczyniłbym z czystym sumieniem to, czego po mnie żądają? Czy pochwaliliby mnie za to rodzice? — a wnet

rozeznasz potem złe od dobrego. Miej do rodziców zaufanie bez granic! Cokolwiek cię tam spotka, czegobyś sam nie umiał rozsądzić, zwierż nam się z tego otwarcie jak dotąd bywało, a wszystko będzie dobrze. Bóg, Ojczyzna, rodzice i własne sumienie niech tobą zawsze kierują!

I dodał:

— Ależ oto widzę, już konie zaprzągają; jabym myślał, — ot księżyc pięknie wschodzi, niech wóz z parobkiem najprzód jedzie, a my wszyscy, jak tu jesteśmy, odprowadziiny naszego młodego tokarza aż do figury świętego Antoniego. Czy zgoda?

Naturalnie wszyscy się na to zgodzili, a najbardziej matka i Jadwiga z tego się ucieszyły, że choć chwilkę dłużej razem z Kazimierzem przebywać będą.

Wdział więc Stefan sukmanę, ubrał się Tadeuszek i Jadwiga, i czekali już tylko na matkę, która z Kazimierzem wyszła była do przyległej izby.

Otwierają drzwi, patrzą, a oto w tej izbie matka ucałowawszy syna, tak do niego przemawia:

— Mój synu drogi! Nie daję ci na drogę ani srebra, ani złota, bo to rzecz blaha i świa-

towa; nie daję ci dostatków, bo te są znikome, ale daję ci moje błogosławieństwo i ot ten obrazek poświęcony Matki Bożkiej Częstochowskiej, naszej Królowej i Opiekunki. Noś go zawsze na piersiach, a módl się szczerze do Niej, polecaj się Jej opiece! Jak niegdyś klasztor Częstochowski, a potem całą naszą Ojczyznę od wrogów uwolniła i ich wytępiła, tak niech i od ciebie wszelkiego wroga odgania, broni od wszelkiej szkody twego ciała jako i duszy!

— Amen! — rzekł patrzący na to ksiądz Wojciech i otarł sobie łzę cisnącą mu się do oczu.

I Stefan patrząc jak matka syna swego żegnająca i wyprawia, odwrócił się, bo nie mógł powstrzymać łez, które obfitym potokiem po licach jego spływały.

Ruszył wóz przodem, a wszyscy poszli wolno za nim.

Słońce co tylko było zaszło; księżyc bladej nieśmiało wysunął się na pogodne tło niebios, drobne gwiazdeczki nieliczne jeszcze migotały wesoło, jakby oczkami mrugając z wysokości ku naszemu podróżnym. Wisła spokojnie i wspólnie, jakby ogromna wstęga srebrna, wiła się przez żyzne pola i łąki, śpiew ptasząt ucichł, tylko słowik gdzieś w gęstym zaroślu nucił za-

łosną i tęskną swą piosenkę. Cisza głęboka zaległa w całej okolicy, a piękność i wspaniałość natury wszystkich umysły skłania do dumania.

Tak zamyśleni szli nasi podróżni. Idąc główną ulicą, gdzie Kazimierz po drodze z niejednym towarzyszem czule się uściśnął na pożegnanie, od niejednego znajomego odebrał życzenie szczęśliwej podróży, wyszli za miasto. Gościniec bity i szeroki, prosty jakby pod sznur wyciągnięty, białawy ginął w odległości; szerokie błonia po obu stronach wionęły zapachem różnych ziół.

Wóz, który był naprzód wyruszył, widać było już niedaleko figury. Zaszlochała biedna matka, wtórowała jej głośno Jadwisia, a biedny Tadeuszek, trzymając brata za rękę, jakby go puścić nie chciał, ocierał sobie wciąż oczki zapłakane. Stefan ścisnął usta, i wstrzymał się jak mógł, by własnem rozczuleniem synowi i matce żalu nie przysparzać.

Już, już nadchodziła chwila rozłączenia; gdy wtem rozległ się głos dzwonka z kościółka. Miły, srebrny, drżący jego dźwięk zabrzmiał po błoniach, po Wiśle, a zdawał się sięgać nawet aż do niebios!

— Było to na Aniół Pański.

Nasi podróżni podług dawnego katolickiego zwyczaju odkryli głowy, przeżegnali się, a ksiądz Wojciech głośno zaczął: „Aniół Pański”, całe zaś towarzystwo za nim pozdrowiało Królową Niebios i ziemi.

Wzlatywała modlitwa do Boga, a ten Ojciec najdobrotliwszy pokrzepił zasmucone serca.

Skończywszy modlitwę rzekł ksiądz Wojciech:

— „Dobry to znak, kiedy nas modlitwa spotyka na drodze!”

A zwróciwszy się do Kazimierza dodał:

— Pamiętaj, kochany Kazimierzu, o tej wspólnej modlitwie naszej pożegnalnej. Nie wstydz się nigdy jawnie jej odmawiać i odkrywać głowy na odgłos dzwonu kościelnego. Ona zachęci cię do pracy, ona pokrzepi strudzone twe ciało, ona posili ducha smutkiem znękanego. Módl się zawsze gorąco do Najświętszej Panny, a Jej Opieka cudowna zachowa cię od wszelkiego nieszczęścia. Jedźże z Bogiem, Pan Bóg niech będzie z tobą!

Jakby cudownie pokrzepieni z mniejszym żalem a z większą ufnością w Bogu wszyscy pożegnali Kazimierza. Uściskał Stefan swoich, wsiadł na wóz, a przeżegnawszy się ruszył z Kazimierzem ku Warszawie.

V.

Warszawa.

Warszawa! — Na to imię serce każdego z nas żywiej uderza, tysiączne wspomnienia, wesołe i smutne, każdego nasuwają się duszy. Jedni przypominają sobie czasy Warszawy dawnej, świetnej i królewskiej, bogatej a swobodnej; inni widzą w swej duszy obraz Warszawy nowszej, ponurej i smutnej. Warszawa, to jakby królowa piękna, wspaniała, potężna; jakby źródło, z którego się rozplywa na kraj cały woda zdrowa i posilająca.

Lecz tę królową piękną niejedna zła dola zasmuciła, niejedna rana krwią oblała, niejedna strata żalobą okryła; a tę wodę źródlaną jedni wstrzymali. Warszawa, ta dawna, rozkoszna, wspaniała stolica królów polskich, dziś smutne rozbudza spomnienia; — a jednak i tym smutkiem pokrzepia, orzeźwia.

Otóż do tej to Warszawy przybył nasz Ka-

zimierz. Znał on już dzieje tego miasta stare i nowe; bo też znał prawie wszystko, a przynajmniej starał się znać wszystko, co się na jego ziemi działo, co na niej pięknego i wielkiego, co na niej smutnego i nieszczęśliwego się wydarzyło. Wiedział więc, że Warszawa to bardzo stare miasto, że prawie już ośmset lat temu, jak tam stała, gdzie dzisiaj stoi, wiedział, że za królów Zygmuntów stała się stolicą całej Polski; wiedział nawet z opisów, co za kościoły, klasztory, jakie pałace to miasto w sobie mieściło.

A teraz naocznie miał oglądać to wszystko, o czem tak dawno już marzył!

Dopóki ojciec bawił w Warszawie, — a zatrzymał się tam dwa dni całe, — wszędzie mu towarzyszył, ani na krok go nie odstępował: bo też z małej miejsciny przybywszy do tak wielkiego miasta, bał się nawet kilka kroków sam zapuścić w miasto, żeby nie zabłądzić w niezliczonych ulicach, krzyżujących się we wszystkich kierunkach. Trzymając się więc lękliwie ojca za rękę, ze zdumieniem spoglądał na śliczne pałace, na kamienice kilkopiętrowe, wysokie jak wieże, na wspaniałe kościoły, — i nie wiedział, gdzie oczy swe obrócić, bo wszystko tam dla niego było nowem, zajmującym.

Tu wojsko z huczną muzyką, w takcie marszeruje ściśniętą gęstą kolumną, a dowódcy i oficerowie krzyczą przeraźliwie, komenderując że aż w uszach zalega; — tam śliczny błyszczący pojazd z czwórką ognistych koni z łoskotem pędzi ulicą, tłukąc kołami twarde kamienie bruku, tak że aż iskry pryskają; — tam dalej znów ogromna katrońka z bębnami i trąbami głośno wygrywa skoczne tańce, a około kilka małp płasza na grzbietach cierpliwych kądli i niedźwiedź niezgraba z kagańcem na pysku, na komendę swego pana ociężałe i pomrukując sobie skacze i tańczy ku wielkiej pociesze przyglądającej się gawiedzi; — tam znów powolnie toczy się cały szereg niskich wózków ciężko towarami opakowanych z takim łoskotem, jakby całą baterią armat przeprowadzano; — tu pomnik taki, tam wodotrysk, z którego bez przerwy woda strumieniem się leje; — tam znów kosztowne a gęstowne wystawy kupieckie ściągają na się uwagę Kazimierza, — zgoła ledwo sobie oczu nie wypatrzył oglądając się na wszystkie strony i podziwiając te wszystkie wspaniałości i piękności dotąd niewidziane w życiu.

Nareszcie ojciec poleciwszy go opiece pana Karola, jednego z najznakomitszych tokarzy w Warszawie, i dawszy Kazimierzowi ostatnie prze-

strogi i błogosławieństwo ojcowskie, wyjechał z powrotem ku domowi.

W pierwszej chwili po jego wyjeździe Kazimierzowi bardzo żal się zrobiło; nie mając nikogo znajomego w całej Warszawie, wyrwany naraz z kółka rodzinnego i jakby przerzucony naraz między obcych ludzi, czuł się osamotnionym, opuszczonym i roztęsknił się bardzo za matką, ojcem, za swą Jadwisią i małym Tadeuszkiem. Co chwilę wzdychał, mimowoli łączył się z oczu puszczały.

Pan Karol tedy, człowiek bardzo zacny i czułego serca, widząc że żadne słowa ani perswazyje nic tu nie pomogą, zaproponował chłopcu, żeby dla roztargnienia się obejrzał sobie dokładnie Warszawę i jej osobliwości; dał mu nawet parę dni wolnych do tego. Kazimierz z chęcią na to przystał i niezwłocznie wybrał się do miasta.

Kiedy z ojcem chodził po Warszawie, trzymając się jego boku, był pewien, że nigdzie nie zabłądzi, ale teraz, kiedy sam się miał zapuścić w ten odmet krzyżujących się ulic, uliczek i zaułków, należało przedsięwziąć pewne środki ostrożności, aby nie zginać, jak w gęstym lesie. Naprzód więc spamiętał sobie dobrze nazwę ulicy i liczbę domu, w którym pan Karol mie-

szkał, aby w razie zabląkania mógł się dopytać ludzi o jego pomieszkanie. Potem obejrzał sobie dokładnie sąsiednie i przeciwległe kamienice w tej samej ulicy; wybiegł to na prawo to na lewo, ale tylko tak daleko zawsze, że nie stracił z oczu swego mieszkania. Potem dopiero odważył się zapuścić w boczną ulicę, z tej w drugą, — tu znów uważał sobie dobrze kościół, koło którego przechodził, i doszedł tak aż do ogrodu Saskiego, leżącego prawie w środku Warszawy i służącego za miejsce przechadzki i zabawy. Tu się zatrzymał, obejrzał, zauważył dobrze ulicę, którą się dostał do tego ogrodu, obszedł go sobie naokoło i potem tą samą drogą, którą przyszedł, wrócił napowrót do domu, ani razu się nie zmyliwszy. Pierwsza więc ta wycieczka udała mu się wybornie, co go niezmiernie ucieszyło.

Przedsięwziął potem podobną wyprawę w innym kierunku, w którym doszedł do Wisły, potem ku Powązkom, ku cytadeli, — i tak manewrując mądrze, jakby generał jaki objeżdżający pole, na którym ma bitwę stoczyć, albo jako lis przebiegły krążący naokoło swej nory, aby wywietrzyć zdobycz albo zasadzkę na siebie zastawioną. W przeciągu pierwszego dnia doskonale umiał się już zorientować w całej War-

szawie, a jak początkowo ledwo o kilka kroków odważył się oddalać od kamienicy swego pryncypała, tak teraz po tych manewrach swoich śmiało puszczał się w ostatnie zaułki i bezpiecznie z nich wracał do swego ogniska.

Po takim przygotowaniu nazajutrz wyszedł sobie już śmiało nad Wisłę, a ztamtąd na Pragę, leżącą po drugiej stronie Wisły i stanowiącą niejako przedmieście Warszawy. Przypatrywał się temu miasteczku z wielkiem zajęciem, bo chociaż ani tak bogate, ani tak wielkie jak Warszawa, było ono przecież bardzo zajmującym dla Kazimierza, dla tego, że nie tak jeszcze dawno temu strasznej doznało klęski. Było to po nieszczęsnym upadku dzielnego Kościuszki. Srogi generał moskiewski Suwarów zdobył szturmem to miasto, dawniej o wiele większe i ludniejsze niż dzisiaj; i do dwudziestu tysięcy mieszkańców bez względu na to, czy to kobiety czy starcy, czy niemowlęta, kazał bez litości wymordować. Kazimierzowi aż serce drżało, kiedy chodząc po ulicach tej podupadłej dziś miejsciny przypominał sobie, jak to niezbyt temu dawno temi samemi ulicami rozjuszony żołdactwo krzycząc i wyjąc brodziło we krwi bezbronnych mieszkańców, których trupy stósami zalegały ulice! Dziwiło tylko Kazimierza, że po

tak okropnej rzezi, że po takim spustoszeniu dziś już ani śladu prawie nie mógł dopatrzeć w całej Pradze, — aleć to, pomyślał sobie, czas i najgłębszą ranę zagoi, czas powoli zatrze ślad najsroźszego spustoszenia!

Z Pragi wróciwszy do Warszawy zamyślony i rozrzuwniony, przechodził koło kościoła Panny Maryi na Nowem Mieście, założonego jeszcze przez książąt mazowieckich.

Wstąpił do niego. Wnętrze jego nie jest tak okazałe jak w innych kościołach warszawskich, ale starożytne mury przypominały mu dawne, lepsze czasy. Kilka pobożnych osób modliło się... i on padł na kolana, i szczerze wznosił modły do Matki Bożkiej, opiekunki i królowej naszej. Klęczał długo i prosił, by mu Bóg raczył udzielić sił i wytrwałości w nowym jego zawodzie, — modlił się i za rodziców, za siostrę i brata, modlił się za rodaków i drogą ojczyznę. Wstał pokrzepiony, rzeświejszy i weselszy, i wyszedł z kościoła.... a ponieważ jeszcze miał nieco czasu, więc przeszedł się po mieście. Tłum ludzi tłoczących się i krzyczących, turkot wozów i karet, wystawy przepysznych sklepów, wszystko już teraz mniejsze niż z początku czyniło na nim wrażenie. Przeniósł on się duszą w przeszłość, i zajęty był tylko

rym dawniej królowie Polscy przemieszkiwali, a teraz tylko namiestnicy cara się rozpościerają; pobiegł dalej do pałacu nazwanego: „Pod Błachą”, który znany z tego, że był pomieszkaniem sławnego naszego księcia Józefa Poniatowskiego. Zwiedził jeszcze katedrę, kościół św. Krzyża — a nawet zapuścił się za miasto pod cytadelę, gdzie z trwogą i żalem spoglądał na całe rzędy groźnych czarnych dział, wymierzonych na miasto, wyglądających jakoby rzędy kłów żarłocznego wilka czyhającego na zdobycz.

Na ten dzień Kazimierz już miał dosyć; znużony całodziennem bieganiem po twardym, a miejscami bardzo nierównym bruku, strudzony nadto przyglądaniem się tylu naraz nowym dla siebie rzeczom, powrócił nad wieczorem do domu, zupełnie prawie wyleczony z tęsknoty za domem rodzinnym.

Nazajutrz poszedł Kazimierz z listem księcia Wojciecha do pana Andrzeja. Tu mile przyjęty zastał całą rodzinę w domu; syn najstarszy pana Andrzeja, uczeń szkoły głównej warszawskiej, prawie równy jemu wiekiem, bardzo mu się podobał, więc zawarł z nim ściślejszą znajomość. Ztamtąd udał się do profesora, p. Ignacego, do którego miał także rekomendacją od swego nauczyciela. Zastał go same-

go, otoczonego książkami, różnemi narzędziami i machinami fizykalnemi. Aż się oczy Kazimierzowi zaiskrzyły z radości i ciekawości na widok tyłu nieznanomych sobie a tak sztucznie zbudowanych rzeczy.

Pan Ignacy przeczytawszy list, rozpoczął z nim rozmowę, z której się przekonał, że Kazimierz wiele już posiadał wiadomości w swoim zawodzie. Polubił go więc natychmiast, wezwał go, aby go często odwiedzał i nazначył mu pewne dni i godziny, gdzieby bezpłatnie na jego wykłady mógł uczęszczać. — Z radością niewymowną podziękował Kazimierz i pożegnał uczonego, a tak uprzejmego dla siebie męża.

VI.

Tokarnia.

Nazajutrz rozpoczęła się praca Kazimierza w tokarni pana Karola.

Tokarnia jego była to sala długa i szeroka: przy każdym oknie stało toczydło i wszystkie potrzebne do niego narzędzia. Wprowadził go pan Karol i oddał pod opiekę i dozór najzdolniejszego swego robotnika, imieniem Mikołaj. Wszystkich oczy zwróciły się na młodego Kazimierza. Zaczerwienił się skromny młodzieniec i stanął jak wryty, myśląc sobie: ja nic jeszcze prawie nie umiem, a oni umieją już wszystko, są wprawni i wyćwiczeni — jakże ja tu między nimi wydołam!?

Pan Karol odszedł do sklepu, a Mikołaj wyznaczył zaraz Kazimierzowi robotę na próbę.

Westchnął Kazimierz do Boga i zaczął jak umiał. Zafurczało toczydło, posypały się trzaski.

wiory i trociny, wszyscy zwrócili oczy na młodzieńca, bo rozumieli, że dostali pomiędzy siebie jakiego nieuka, a on im w okamgnieniu pokazał, że prawie tyle umie, co każdy z pomiędzy nich.

Teraz na nich przyszła kolej zawstydzenia się.

— Co to? — mówili sobie, — przyszedł jakiś młodzik, któremu ledwie że meszek pod nosem porasta, i od razu tak zręcznie się sprawia jak my? A nuże! pokażmy i my, że coś umiemy!

I furknęły toczydła, posypały się trzaski, pryskały kawałki drzewa, rogu i kości, i wszystko pracowało, wszystko spieszyło się na wyścigi. Jeden drugiego chciał przewyższyć w pracy i pilności.

A nie było tak tego tylko jednego dnia, lecz i drugiego i trzeciego i cały tydzień i miesiąc, i już odtąd ciągle na wyścigi pracowali.

Tak to jeden chłopiec, że był do pracy chętny i pilny, pragnąc w swej sztuce się wydoskonalić, przykładem swoim wszystkich i najopieszalszych robotników umiał zachęcić i porwać ze sobą.

Już sam zatem wstęp Kazimierza do tokarni wiele sprawił dobrego; za to i pan Karol

coraz to bardziej go lubił i pokochał wreszcie jak własnego syna. Bo też teraz robota w jego tokarni szła zwawo, aż miło; nie zamówionego nie zalegało, wszystko w swoim czasie kończono, a wszystko tak porządnie, tak trwale, dokładnie, kształtnie i mile dla oka, że w całej Warszawie tokarnia pana Karola stała się najsłynniejszą.

Tak rozpoczął Kazimierz swój zawód tokarski, tak i nadal pracował, ćwicząc się w swojej sztuce przez całe dwa lata pobytu w tej tokarni.

W wolnych chwilach odwiedzał Kazimierz pana Ignacego, pana Andrzeja, lub pewnego starego garbarza na Pradze, który był dobrym znajomym jego ojca; uczęszczał w naznaczonych godzinach na wykłady do profesora. Tym sposobem doprowadził do tego, że w krótkim czasie co do wiadomości wszystkich swoich kolegów przewyższył, a w praktyce i pracy zupełnie im dorównał.

Zresztą w chwilach wolnych od pracy, czy to w święto czy w niedzielę lubił rozmawiać z towarzyszami. Byli między nimi tacy, co widzieli obce kraje i umieli niemało ciekawych rzeczy opowiadać o nieznanych u nas zwyczajach i obyczajach cudzoziemskich.

Jeden z nich był we Francyi, a temu było na imię Tomasz; drugi, imieniem Maciej, był

w Moskwie, przeszedł Turcyą, Wołoszczynę, Węgry, był w Wiedniu, a obydwaj umieli wiele rzeczy opowiadać.

Razu jednego, gdy Tomasz opowiadał o Francyi, o Paryżu i innych miastach francuzkich, zapytał go się Kazimierz:

— A byłeś też w mieście Nancy w Lotaryngii?

— Byłem tam, — odrzekł Tomasz — i pracowałem u pewnego chwackiego tokarza. Ej! gdybyście wiedzieli co to za ładne miasto! kamienice wielkie, kościoły wspaniałe; warsztaty i fabryki, jak w naszej Warszawie... a dobrze mi tam płacono!

— Czy więcej nic o tem mieście nie wiesz? — zapytał go znów Kazimierz.

— A cóżby tam jeszcze takiego było? — rzekł na to Tomasz. Znam wszystkie pałace i kościoły, znakomitsze domy, znam wszystkie tamtejsze tokarnie, no i cóż chcecie, żebym jeszcze wiedział?

A Kazimierz mu na to:

— Oj, jest tam jeszcze coś bardzo ważnego! W mieście tem żył nasz król polski Stanisław Leszczyński, gdy przez matactwa obcych dworów utracił tron polski. To też tam w Nancy i w całej Lotaryngii pełno jest po nim

pamiętek, a mieszkańcy tameczni do dziś dnia jeszcze z uwielbieniem o nim wspominają. Pano-
nował on tam 30 lat, bo miał ono księstwo w
dożywociu, a słynął w całej Europie z mądrości,
sprawiedliwości i łagodności. Tam w kościele
złożone są też jego zwłoki. Polacy przejeżdża-
jąc tamtędy odwiedzają te miejsca pobytu jego
wslawione, i na obcej ziemi wspominają sobie
z chlubą świetne dzieje Ojczyzny.

— Czyś ty tam był? — zapytał go się
Tomasz.

— Nie byłem — odrzekł Kazimierz.

— A z kądże to wszystko wiesz?

— Z książki. — Bo widzicie, drodzy towa-
rzysze, nim zostałem tokarzem, byłem wprzód
Polakiem, bom się Polakiem urodził. Dla tego
to zawsze mię mocno obchodziło to wszystko,
co się w naszym kraju działo i dzieje, a nawet
co się dziać może, i dla tego też pilnie uczyłem
się dziejów polskich. A tak czytając i ucząc
się, poznałem też, jakie to wielcy nasi królowie,
możni nasi panowie, ba nawet i prości nasi wie-
śniacy pozostawiali po sobie pamiątki, bądź po
różnych stronach naszego kraju, bądź za granicą.

Kto z was będąc w obczyźnie nie urado-
wał się tam niezmiernie, spotkawszy się tam z
ziomkiem, choćby zupełnie nieznanym dawniej;

jak najchętniej do niego się zbliżał i rad był, jeśli przynajmniej słówko do niego przemówić mógł w ojczystym języku. Tak też każdy z nas uwielbia i czei za granicą każdą pamiątkę po rodaku, który tam przebywał. Czuje on radość i dumę, choć czasem z głębokim smutkiem połączoną, kiedy za granicą słyszy z ust ludu, lub widzi na kamieniu wyryte słowa: „Oto tutaj żył, czynił dobrze, wsławił się i był kochany... Polak — twój rodak”! — Nie pytam się wtedy, czy to król, czy książę, czy prosty tylko człowiek; wszystko mi jedno, wiem, że to Polak. I tak nad grobem wspaniałym króla Leszczyńskiego, jak nad grobem biednego czeladnika, a byle Polaka, przenoszę się duszą do ukochanej Ojczyzny; a cóż nad nią mamy miłszego? I gdybyś przeszedł całą ziemię wszerz i wzdłuż, wszędzie znajdziesz pamiątki naszego narodu.

— Ty Macieju, mówisz, żeś był w Moskwie. A czy nie słyszałeś o naszym hetmanie Żółkiewskim, o królu Batorym, o księciu Józefie Poniatowskim? — Byłeś w Turcyi i na Wołoszczyźnie! Czylibyś wyliczył sławne imiona tych mężów, co to naszego rodu imię orężem aż w tamtych krainach wsławili? — A Węgry?... Węgry, które dawniej pod jednym królem z Polską były połączone; — A Wiedeń? ten Wiedeń,

co naszemu bohaterskiemu Janowi III Sobieskiemu zawdzięcza wyswobodzenie od Turków? I w Hiszpanii znają Polaków z waleczności, a nawet w Afryce; a w Ameryce jeden z najdzielniejszych naszych konfederatów barskich, Pułaski, poległ pod Savannah walcząc za wolność amerykańską, i nasz naczelnik Kościuszko słyną po dziś dzień w ustach wolnych Amerykanów. A co, czy nie wielki, nie dzielny nasz naród? czy nie wstyd dla nas nie znać swego narodu dziejów? —

Skończył Kazimierz, a słuchacze jego popuszczali głowy i zamyślili się, ... nic nie odpowiadając, aż nareszcie wstał starszy Mikołaj i tak rzekł do Kazimierza:

— Kazimierzu, mamy do ciebie prośbę.

— I owszem! — rzekł uprzejmie Kazimierz; — proszę was powiedzieć, czem wam mogę służyć?

— Oto, rzecze Mikołaj, prosimy cię, abys w wolnych chwilach opowiadał nam, albo czytał o naszym kraju, o naszych królach i o naszych dziejach. Bo ot człowiek nibyto Polak, a wstyd powiedzieć nie wie nic o Polsce. Twoje słowa dopiero jakoś nam otworzyły oczy; i dla tego prosimy cię, abys nam tak co kilka dni zecheiał

z godzinke poświęcić, opowiadając dzieje naszej Ojczyzny.

— Zgoda! jak najchętniej, zawołał Kazimierz. A możemy to sobie bardzo ładnie ułożyć. Każdy z was ma kogoś znajomego; można by i tych na naukę zaprosić. Raz zejdziemy się tutaj, drugi raz pójdziemy gdzie indziej, inny raz znowu gdzie indziej, i tak sobie wieczorkiem lub w święta będziemy gawędzili o dawnych czasach. Ja, ile się nauczyłem, będę wam opowiadał; zresztą mam z sobą ładne książki, to będę wam i czytał, a tym sposobem dowiemy się wiele pięknych rzeczy o naszej Ojczyźnie. Jakże, czy zgoda?

Wszyscy z ochotą przystali, uściskali Kazimierza, i od najbliższej Niedzieli rozpoczęli swoją naukę.

Czy nie pięknie popisał się nasz Kazimierz? Nie tylko że sam pilnie i sumiennie wypełniał swoje obowiązki, ale i towarzyszków swoich do wszystkiego dobrego starał się zachęcać.

Oby nam Pan Bóg takich Kazimierzów dawał jak najwięcej!

Tak podzieliwszy sobie czas między pracę i naukę, przepędzał go użytecznie w Warszawie; lubiony i kochany od swych towarzyszków; a choć od nich młodszy, szanowany. Jedno jego słówko

pochwały lub nagany więcej u nich ważyło, niż tysiące słów innego, a cały jego pobyt w Warszawie bardzo zbawienny wpływ wywarł na jego towarzyszków, — złych poprawił, dobrych w dobrem utwierdził.



VII.

Pijak.

Był między czeladnikami pana Karola niejaki Piotr Stropski, robotnik, jakiego szukać, zwinny szybki i dokładny; był żonaty i miał dwoje dzieci. Ale miał wielką wadę.

Były dni, gdzie robił za dziesięciu, gdzie robota w jego rękach się paliła; trwało to dwa, trzy tygodnie, nawet miesiąc i dwa miesiące; ale potem ktoby był przyszedł do tokarni, ujrzałby jego toczydło puste; nie było Piotra czasem po trzy, cztery dni, czasem i po całych tygodniach.

A czeladnicy wtedy mawiali: — Ho, ho! pewnie nasz Piotr znowu toczy u Szrajbera — i śmiali się.

Kazimierz jednak nie śmiał się, smucił się owszem z upadku swego towarzysza; a kiedy go potem gdzie zdybał, przemawiał do jego serca, przypominał mu żonę, dzieci, Boga; i nieraz udawało mu się odwrócić go od powtórnego

upadku. Bo też Piotr bardzo szanował Kazimierza.

Aliści jednego razu Kazimierz wszedłszy do tokarni ujrzał znowu puste toczydło Piotra, a robotę nie dokończoną.

Przykro bardzo mu się zrobiło i zapytał Mikołaja, czemu Piotrowe toczydło nie zajęte?

— Ma on — odpowiedział Mikołaj — u Schrajbera inne toczydła: jednym toczy piwo, drugim wódkę, trzeciem wino. Ot szkoda człowieka, bo zresztą poczciwy, a jak nie pijany, to i żonę i dzieci kocha, i o nie się stara.

Nic nie odpowiedział Kazimierz na to, lecz był więcej niż kiedykolwiek zamyślonym i mało mównym; często wzdychał, często przerywał swoją robotę. Widać, ciężko mu było na sercu. A nareszcie wieczorem zapytał się:

— Gdzież to ten Szrajber mieszka?

— A ot, rzekł jeden z czeladników, mieszka na starem Mieście w domu pana Krzysztofa, co to zamówił u nas tę piękną szafeczkę do fajek, którą masz w robocie.

— A gdzie mieszka Piotr? — zapytał dalej Kazimierz.

Na to odrzekł Mikołaj: — Oj, to trochę daleko, bo aż za rogatkami Powązkowskimi, kawałek za cmentarzem, w domu starego kowala.

Podziękował za odpowiedź Kazimierz i wziął się znów do roboty; z toczydła aż się iskry sypały, nożyk skrobał, dłutko dłubało; nałożono politurę i wnet skończona była robota na dzisiaj.

Już dobry był wieczór, kiedy się Kazimierz ubrał, coś ze swego kuferka wyjął, schował do kieszeni, pożegnał kolegów i wyszedł na ulicę. Puścił się wprost drogą ku stronie północnej Warszawy; szedł długo, aż przyszedł do rogatek Powązkowskich, i minął je. Szedł potem koło cmentarza na Powązkach, odkrył głowę, zmówił modlitwę za zmarłych, spojrzał na cmentarz ten wyglądający jak ogród wspaniały, zasadzony drzewami i kamiennymi głazami, zasypyany ślicznymi pomnikami;... i szedł dalej; aż za cmentarzem ujrzał samotny domek.

Jakiś głos wewnętrzny mówił mu; To tutaj!

I zapukał do drzwi domu.... i zapytał, czy tu mieszka Piotr Stropski?

Otwierający mu drzwi mężczyzna, już podstarzały, odrzekł: — Tutaj! — i wskazał ręką przez sień, dzielącą domek na dwie części.

Szedł Kazimierz za daną mu wskazówką; ciemność go otoczyła do koła, jakaś wilgoć i stęchlizna biły ze wszech stron.... aż w końcu tra-

fił omackiem na jakieś drzwi, porwał za klamkę i stanął w małej izdebce.

Wszedł, ale choć izdebka była oświecona, nic prawie nie mógł dojrzeć. Przetarł oczy, bo zdawało mu się, jakby jakaś zasłona zawisała przed jego wzrokiem. Gęsta para, jakby mgła, napęłniała całą izdebkę; odurzający zapach ługu i mydlin ledwie dozwalał oddychać. Świeczka łożowa ze spopielonym knotem wisiała na sznurku u środka powały, i miała niby to całą izbę oświecać. Jakaś kobieta pochylona nad balią z bielizną prała, dziewczynka prawie dwunastoletnia razem z matką tarła drobnymi rączkami grube płótno, a chłopaczek mały kwilił w kołysce, jeżeli proste koryto nazwać kołyską można. W izdebce ledwo cztery kroki szerokiej a sześć długiej był tapczan z siennikiem, stół prosty drewniany stał pod oknem, w środku izby mały stółek, a na nim balia. Na tapczanie, na stole i po ścianach porozkładana i porozwieszana była bielizna. Jedna tylko ozdoba była w tej nędznej komórcie; był to prosty obraz Matki Bożkiej zawieszony nad tapczanem. Zresztą przypatrzwszy się lepiej, nie widział Kazimierz w izbie ani brudu ani nieporządku. Kobieta sama, jak i jej córeczka, czysto i chędogo — choć ubogo były ubrane; ale wszystko po-

kazywało, że to były czystość i ochędoztwo nędzy i nadzwyczaj wyczerpanej pracy.

Piotrowa, bo istotnie była to żona Piotra, nie oglądając się na wchodzącego Kazimierza, usłyszawszy otwierające się drzwi, zawołała żałośnie: — Ach proszę was, Szymonie, wszak przyrzekłam wam że na jutro będziecie mieli koszulę gotową. Oto patrzcie sami, że ją pierę! — a mówiąc to, podniosła koszulę, którą właśnie w mydlinach tarła, i zwróciła się ku przychodzącemu. Lecz spostrzegłszy, że przed nią stoi zupełnie obcy młodzieniec, zakłopotana się mocno, puściła koszulę i rzekła!

— Ach! to.... to nie Szymon;.... to pan.... ach! proszę pana, może pan zbłądził.... bo tu ja mieszkam, praczka Stropska!

Pocziwy nasz Kazimierz uspokoił ją mówiąc: — Właśnie to do was, pani Piotrowa, miałem interes.... Ja jestem Kazimierz Berdysz.

Ach! pan Kazimierz! zawołała uradowana Piotrowa. Opowiadał mi mój mąż o panu wiele... wiele,... ach! proszę pana, czem mogę służyć?

— Przychodzę po sprawunku, odrzekł jej Kazimierz. Praczka, której dotąd dawałem pracę pieliznę, już mi nie będzie prała, więc prosiłbym

was, czybyście nie chcieli uczynić mi tej przysługi?

Ach! panie Kazimierzu! rzekła Piotrowa, jakżebym ja to chętnie uczyniła, ale pan, jak wiesz, masz cieńszą bieliznę, a do mnie dają tylko taką.

I pokazała mu płótno grube, zgrzebne i szare. I westchnęła biedna kobieta.

Córka jej tymczasem była wyszła i wróciła z krzesłem, obtarła je czystym fartuszkim, postawiła i prosiła Kazimierza, żeby zechciał zająć miejsce. A matka jej szepnęła: — Dobrześ uczyniła, moja Zosiu!

Podziękował Kazimierz, usiadł i mówił dalej: — A co mi tam do tego, czy płótno grube, czy cienkie, ja się na tem nie znam, byleby było czysto wyprane, byleby guziki nie były poobrywane....

— Jak się co oberwie, odezwała się na to Zosia, to ja wszystko poprzyszywam.

— A tak — dodała Piotrowa — to prawda, że moja Zosia, to moja prawa ręka.

— Więc zgoda, rzekł Kazimierz, jutro przyniosę brudną mą bieliznę.

— Ależ ja sama pójde po nią, odezwała się Piotrowa, albo Zosię po nią poślę.

— Tak tak, ja pójdę po nią, odezwała się Zosia, pocoby pan sam miał dźwigać?

— Nie, dziękuję, odparł Kazimierz. Wszak mam cięższe barki od Zosi, czy nie prawda?

Co mówisz Zosiu?

Popatrzyła się Zosia na jego szeroką pierś i barczyste plecy, i nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

— Interes więc skończony, rzekł nareszcie Kazimierz; a tutaj daję zadatek. — I położył coś na stole w papier zawiniętego; a zanim Piotrowa mogła słówko wyrzec, pożegnał ją i znikł.

Piotrowa porwała papier, wybiegła za Kazimierzem, bo nie chciała żadnego zadatku, nie wiedząc, czy mu się jej pranie spodoba; wyszła na ulicę. lecz nikogo już nie ujrzała; tylko koło cmentarza mignęło coś, jakby cień i znikło.

Powróciła więc do izdebki. Tu rozwinęła papier i zabłysło srebro; były to cztery talary. Zdziwiła się biedna Piotrowa, nie chciała swym oczom wierzyć, bo tyle pieniędzy razem już dawno w ręce nie miała.

Ha! mój Boże! westchnęła sobie, nie chciałam przyjąć tych pieniędzy dla siebie, ale przyjmuję je dla tych biednych dzieci; bo Piotr o nich nie pamięta.

I pomyślała biedna kobieta o swoim mężu, który niby to pocziwy z nałogu pijaństwa zapomniał o najświętszym swym obowiązku, tak że przez niego ona żyć musi w nędzy z drobnymi dziećmi. Spojrzała na nie i pomyślała sobie: — Coby się też z biednej Zosi stało, co z maleńkiego synka, gdyby jej nie było na świecie. — I smutno biedaczce zrobiło się na sercu.

W tem padł jej wzrok na obraz Matki Boskiej, zdawało jej się, że ta Królowa Niebios do niej się uśmiecha. Ufność wstąpiła w jej duszę, uklękła przed obrazem... i modliła się. Zosia widząc to, zrozumiała matkę, uklękła także i obok niej się modliła a modlitwy ich gorące i szczere wzlatywały w górę coraz wyżej i wyżej, aż stanęły w obliczu tej pocieszycielki strapiionych, przed której poświęconym wizerunkiem klęczały.

Tymczasem w kołysce dziecko usnęło, lekko i zdrowo oddychając, i cisza zaległa cały domek. Było już koło północy, a one modliły się jeszcze. W tem rozległ się łoskot u drzwi wchodowych, potem jakieś dzikie krzyki i powtórne niecierpliwe stukanie.

Zerwały się obie, a biedna matka zajękła: O mój Boże! mój Boże! już znów pijany!

Wybiegła z izdebki... a po chwili wto-

czył się chwiejącym krokiem Piotr Stropski. Zosia, drżąc z przestachu, ukryła się w kącie izdebki. — Stanął w środku izby z wzrokiem obłąkanym, z najeżonemi włosami, bez wierzchniej odzieży, zabełkotał coś niezrozumiale, pomrukując jakby jakie zwierzę, nogi mu się zachwiały, byliby upadł, lecz nieszczęśliwa żona podbiegła, wzięła go pod rękę i poprowadziła do tapczana mówiąc: — połóż się spać, Piotrze! połóż się.

Zzymał się Piotr, chciał się opierać, lecz ledwie sobą mógł władać: padł na siennik. . . . a w kilka minut już rozlegało się głośne jego chrapanie.

I znowu cisza nastała, przerywana tylko chrapaniem pijanego Piotra. Matka z Zosią płakały, usiadły ściskając się nawzajem koło tapczana, — świeczka łożowa zapłonęła ostatnim płomieniem. . . . i zgasła. Ciemność, cisza i całodzienne utrudzenie uśpiły wnet i te obie biedne istoty.



Nazajutrz w tokarni szło wszystko swoim zwykłym trybem: wszyscy przy swoich warsztatach pracowali, i Kazimierz z drugimi praco-

wał czasem tylko spoglądając na puste toczydło Stropskiego. Nie było go jeszcze.

Tak przeszedł cały dzień. Wieczorem po skończonej pracy Kazimierz znowu się ubrał i wyszedł. Poszedł na stare Miasto i wkrótce wynalazł dom pana Krysztofa z szynkownią Szrajbera. Wszedł: pełno ludzi różnego gatunku: wyrobników, czeladzi, rzemieślników, woźniców; pełno smrodu różnych napojów; pełno hałasu i krzyku; pełno dymu z tytoniu, do tego wszystkiego muzyka uszy rozdzierająca. Przeszedł kilka razy przez kilka izb, szukał tam kogoś wreszcie nie znalazłszy go, usiadł przy próżnym stole; żeby zaś na niego szynkarz krzywym okiem nie patrzył, kazał sobie podać szklanekę piwa.

Posługacz pogardliwym wzrokiem powiódł po nim, bo cóż u niego taki gość, co tylko szklanczką piwa się kontentuje. — Przyniósł piwo, — postawił, odwracając się od tak wstrzemięźliwego gościa — i chciał odejść.

Zatrzymał go Kazimierz, zagadując: — Nie ma tu czasem Piotra Stropskiego.

— A, nie ma go samego, rzekł posługacz, ale jest tu coś od niego. To mi tęgi człowiek. Jak przyjdzie do nas to nie każe sobie szklane czki piwa podawać, ale z kufla pije, czy to pi

wo, czy wino, czy wódkę, i to nie sam, — wszyscy, kto tylko w Boga wierzy, piją... bo też bardzo lubi towarzystwo; a jak nie w kompanii, to pić nie może. Pieniędzy nie żałuje, aż miło z takim gościem! A jak nie stanie pieniędzy, to mniejsza o to, czy śnieg czy deszcz, czy zimno, czy ciepło na dworze, kaftan czy sukmanę, but czy nie but... wszystko ściąga z siebie, i daje, by tylko sobie podochocić, gości uraczyć, i memu gospodarzowi co zarobić. To mi pan! on szklaneczkami piwa nie cedzi: Tak! mój panie! jego samego teraz tu nie ma, lecz przyjdzie niezawodnie, nie dziś to jutro, bo zostawił nam pamiątkę; — ładny miał ubiór! —

— Właśnie to ja przyszedłem po te suknie Piotra, aby je wykupić, — rzekł na to Kazimierz.

— A dobrze, rzekł posługacz, liczył potem coś na palcach i dodał: należy się trzynaście złotych.

— Oto masz je... zawiń rzeczy... i przynieś. A tu masz dla siebie te szklankę piwa możesz sobie wypić, a tu masz co się za nią należy.

Posługacz osłupiał, wytrzeszczył oczy na Kazimierza, wziął trzynaście złotych i należytość za piwo, naturalnie i poczęstnem nie wzgardził,

wziął milczkiem szklanę z piwem i wyniósł się, nie mówiąc słowa. — Po chwili przyniósł zawiniątko z rzeczami, a za nim przyszedł sam gospodarz Szrajber.

Gospodarz grzecznie, lecz widząc trochę tem obrażony, że Kazimierz pogardził jego piwem, zbliżył się do Kazimierza i rzekł:

— Cóż to, pan nie chce ani skosztować mego piwa? czy panu nie smakuje? W całej okolicy nie ma lepszego, — pan mi wyrządzaś krzywdę.

— Mój panie! rzekł na to Kazimierz, każdy pije co lubi i ile może, a za to płaci; ja nawet za to zapłaciłem, czegom nie pił. Czy żądasz pan jeszcze czego odemnie.

— Ale przepraszam pana! odezwał się z gniewem pan Szrajber, pan mojem piwem pogardzasz!

Na to odrzekł mu z godnością Kazimierz: — Ja wszystkiem, nie tylko pańskiem, piwem pogardzam; pogardzam wódką i wszystkiemi trunkami, jeżeli one robią człowieka zwierzęciem, uczciwego łotrem, pracowitego próżniakiem, jeżeli — ot tak jak biednego Piotra czynią złodziejem własnego zarobku, jeżeli sprawiają, że zapomina o żonie, o dzieciach i staje się tylko ciężarem dla ludzi.

Gdy to Kazimierz cokolwiek donośnym mówił głosem, zbliżyło się wiele gości — i otoczyło stół, przy którym Kazimierz stojąc prawil panu Szrajberowi świętą prawdę. Ten widząc, że słowa Kazimierza mogłyby gości jego rzeczywiście odstręczyć od pijaństwa, na czemby naturalnie nie mało stracił, — ostro się postawił Kazimierzowi, nasrożył minę, i zawołał:

— Co to? pan mi tu chcesz kazania prawić? Nie dość na tem, że sam nic nie jesz, ani pijesz, chcesz mi odmówić moich szanownych gości, których tak wysoko szanuję i kocham, którym usługuję tak szczerze?

— Prawda, — odrzekł Kazimierz, — ładnie im pan służysz!

A zwracając się do otaczających go gości, po których obliczu spostrzegł jakąś niechęć ku sobie, i pokazując im zawiniątko, zawołał:

— Oto patrzcie, to są skutki usług szczerych pana Szrajbera!

A jeden z gości, furman, odrzekł:

— Cóż tam jest takiego? Cóż pan chcesz z tem zawiniątkiem? Czy już nie można się napić szklanki piwa, kiedy człowiek cały dzień się napracował, że aż kości trzeszczały?

— Broń Boże, — odrzekł na to Kazimierz, — broń Boże! żebym tego wzbraniał! Trunek

do posilenia nięch służy; ale nad miarę użyty jest trucizną, grzechem i występkiem!

— A w tem oto zawiniątku, wiecie co jest? — oto ubiór mego biednego przyjaciela, które mu pan Szrajber tak szczerze służył i tak go szanował i kochał, że dawał mu tyle pić aż zrobił z niego człowieka bez rozumu, obdarł go z jego rzeczy, a byłby go obdarł nawet z własnej jego skóry, gdyby mógł ją spieniężyć gościom, to jest sobie samemu usługiwać, gości swoich wtrącać w nędzę, a groszem ich zapelniać swoje kieszenie. Oto, co chciałem powiedzieć.

To powiedziawszy Kazimierz pokłonił się panu Szrajberowi, a zabrawszy zawiniątko opuścił tę brudną i zadymioną jaskinię i aż odechnął swobodniej, ujrawszy się znów pod gołym niebem, zdala od owej zgrai pijaków.

Ledwo co wyszedł Kazimierz, aliści goście jeden po drugim popłacili to, co wypili i wynosili się z oburzeniem od Szrajbera, co ich tak szczerze szacował i kochał.

Szynk jego po tym zajściu bardzo opustoszał; mało kto kiedy tam zajrzał, chyba ze wsi świeżo przybyły tam czasem zabłądził.

Kazimierz wyszedłszy z swem zawiniątkiem pod pachą, szedł prosto ku Powązkom i rozmy-

ślał po drodze, jakby te rzeczy oddać Piotrowi; bo wiedział, że Piotr z braku przyodziewku nie przychodził do tokarni. I szedł tam dalej; minął rogatki, minął cmentarz — i zbliżył się do domku samotnego kowala. Obszedł go naokoło, ujrzał w oknie u Piotra światelko.... zajrzał.... i cóż zobaczył?

Oto na tapczanie siedział Piotr, strumienie łez lały mu się z oczu; Zosia wisiała u jego szyi, i ścisła go serdecznie; jedną ręką trzymał rękę swojej żony, w drugiej w otwartej dłoni miał owe cztery talary darowane przez Kazimierza i wołał:

— Przecież jemu żadna praczka nie pierze, bo rodzice jego, mieszkając nie zbyt daleko ztąd, biorą bieliznę do siebie! O! poczciwy Kazimierz! Chciałeś pomódz mojej rodzinie, którą ja w nędzę wtrąciłem! O! te talary palą mnie w ręce! O jam niegodziwy! — A ty, moja żono, czy przebaczysz mi, żem sobie tak niedbale, tak niegodziwie postępował? Przebacz mi! Oto na obraz ten święty, na imię Matki Bożkiej przysięgam, że nigdy a nigdy nie wstąpię do szynku!

— Kochany mężu, rzekła mu na to Piotrowa, nie uwierzysz jak mię to cieszy, że widzę cię tak skruszonym, że wyrzekasz się szynkowni,

co nas już do ostatecznej doprowadziła nędzy. Ale nie gniewaj się, jeśli ci jeszcze słówko powiem. Sam mi o tem wspominales, że pan Karól już nieraz cię powstrzymywał od pijaństwa i mnie samej nieraz obiecywałeś, i przysięgałeś nawet, że się poprawisz. Ale cóż potem, kiedy poprawa ta zawsze była tylko chwilowa. Czy i teraz moja radość ma być tak krótką? Czy i teraz dawny, zakorzeniony nałóg nie obali twego postanowienia?

— Masz słuszość, — odrzekł jej na to Piotr nieco zasmucony i zakłopotany niedowierzaniem żony; masz słuszość, zem cię już nieraz zawodził, że nie dotrzymałem ale teraz — czegoż chcesz więcej, wszakżem ci już poprzyśnął na Imię Matki Bożkiej, że nie pójdę do szynkowni.

— Przysięgłeś, co prawda, — odpowiedziała znów żona, — ale nie bierz mi za złe, że nie ufam już twojej przysiędze, kiedyś ją nieraz już złamał, bo, wiesz, że jak się kto raz sprzeniewierzy, to mu się już więcej nie wierzy. — Pierwszy lepszy z dawnych twoich kamratów, tylko skinie na ciebie, to pójdziesz za nim i na nowo rozpocznie się hulanka. —

— Co to, to nie, — zawołał teraz urażony już nieco Piotr; — com teraz powiedział, tego

dotrzymam, i choćby parę wołów do mnie zarzęgli, to do szynkowni mnie nie wciągną! Zresztą jaką ci mam dać pewność, że to zrobię?

— Idź do Spowiedzi świętej, rzekła żona spokojnie, spoglądając mu w oczy.

Na te słowa jakby coś Piotra było ukąsiło, — zmieszał się, powstał, zaczął przechadzać się po ciasnej izdebce.

— Po co do Spowiedzi? zawołał nareszcie. Przecie nie masz jeszcze pół roku, jak odbyłem Spowiedź Wielkanocną! Wiesz, że ja nie lubię zbyt często się spowiadać, bo przez to tylko powszechnie Spowiedź. Wy kobiety to tylko w księży wierzycie!

— Nie w księży, kochany mężu, — odrzekła na to spokojnie Piotrowa, — ale w Boga, którego przy Spowiedzi księża zastępują. Byłeś temu pół roku u Spowiedzi, ale tylko prawie z przymusu, a nawet sam mi powiadałeś, i to z niemałym oburzeniem, że ci ksiądz nie dał rozgrzeszenia, bo widać, żeś go nie był godzien. Teraz Pan Bóg kołace znów do twego serca, korzystaj z dobrego natchnienia: wyznaj Panu Bogu winy swoje i złoś na ręce Jego zastępcy obietnicę poprawy, a Bóg łaskawy przyjmie twój żal szczery, odpuści grzechy, a do tego łaską

swą najświętszą uświęci twą przysięgę, tak że jej dotrzymasz. No i co? kochany Piesiu, nalegała na niego dalej ze słodyczą, pójdziesz do Spowiedzi świętej?

Piotr widocznie był zakłopotany. Dług i nałóg pijaństwa obmierzł mu przystępowanie do Sakramentów świętych, a szatan, który mniemał już mieć prawo do jego duszy, wpoił w jego serce szczególniejszą odrazę do Spowiedzi świętej. Do kościoła chodził, posty zachowywał, pacierza nigdy nie zaniedbał, chyba że był pijany, — ale gdy mu kto o Spowiedzi wspomniał, to jakby go kto zlał okropem. Zamyślił się więc i teraz głęboko, i długo nie dawał odpowiedzi: śnać nałóg zakorzeniony silny opór stawiał wpływom łaski Bożkiej, — śnać zacięta w jego sercu wrzała walka.

Nareszcie żona łagodnie, ale z coraz większem naleganiem odzywa się znowu:

— No Piesiu, czyż mi nie dasz nawet odpowiedzi? Wszak pójdziesz do Spowiedzi, nieprawdaż? i pogłaskała go po twarzy, mile się do niego uśmiechając.

Piotr nie mógł się już oprzeć jej słodkiemu naleganiu, — uśmiechnął się, posępność znikła, z jego czoła, widać, że jakaś myśl szczęśliwa przesunęła mu się przez głowę. — Kiedy konie-

cznie chcesz, odezwał się, to pójdę, ale ty musisz iść ze mną!

— Dzięki Bogu! — zawołała uradowana żona, — jeśli tylko nic więcej nie żądasz, z największą chęcią będę ci towarzyszyła! Jutro więc raniuteńko oboje pójdziemy do Kapucynów!

— Pójdziemy, — odrzekł Piotr i uściśnął pocziwą swą żonę, -- niechże Bóg dokończy co ludzie rozpoczęli.

Kazimierzowi stojącemu pod oknem podczas całej tej rozmowy o mało serce nie wyskoczyło z radości, gdy widział i słyszał co się w izbie działo; oto jego towarzysz, jego ziomek się nawrócił, mąż żonie, ojciec dzieciom, obywatel Ojczyźnie wrócony! Potoczyły mu się po licach łzy radości i wdzięczności ku Bogu, iż jego wybrać sobie raczył za narzędzie do spełnienia tego pięknego czynu.

Ale cóż było czynić z zawiniątkiem? Wejść do nich nie chciał, nie chcąc się wystawiać na to, aby mu uszczęśliwiona przez niego rodzina dziękowała; własne bowiem jego sumnienie było mu najlepszą nagrodą, i starczyło mu za wszystko.

Nie długo się zatem namyślając, obiegł domek, zapukał do drzwi wiedząc że stary kowal

mu otworzy. I rzeczywiście otwarły się drzwi, a głos starego kowala odezwał się:

— Kto tam?

— To ja.

— Co za ja? — Bo nie poznaję.

— Nic nie szkodzi. Proszę to zawiniątko oddać Piotrowi Stropskiemu!

To mówiąc Kazimierz wcisnął zawiniątko zdziwionemu kowalowi w ręce, a sam znikł.

Kowal postął chwilę, mruczając sobie pod nosem, nakoniec pomyślał sobie, że trzeba zrobić jak mu polecono. Przeszedł więc się, otworzył drzwi izdebki, a kładąc zawiniątko na stole, rzekł:

— Kazano mi to oddać Piotrowi Stropskiemu! Oddaję. — Po tych słowach oddalił się.

Wszyscy w izbie spojrzeli z zadziwieniem po sobie, nie wiedząc co się dzieje, aż Zosia skoczyła do zawiniątka, rozwiązała je, a biedny Piotr ze wstydem poznał swoje u Szrajbera zastawione suknie.

I nagle zawołał: — Zkąd one się tu wzięły? Zkąd kowal je dostał?

I wybiegł z izby do kowala, ale dowiedział się od niego tylko, ile mu mógł powiedzieć ten, co sam nie wiele wiedział. Nie trudno przecież było domyśleć się prawdy.

Wrócił więc do swoich, i rzekł z rozrzewnieniem:

— Wiecie kto mi przyniósł te rzeczy, którem był zastawił u Szrajbera? — Oto nasz Aniół! Kazimierz!



VIII.

Nawrócony.

Nazajutrz raniutko, ledwo się nieco rozjaśniło, jeszcze przed wschodem słońca dwoje ludzi, mężczyzna jakiś i niewiasta, przystojnie, porządnie lecz skromnie ubrani, idą poważnie obok siebie, a nie oglądając się ni w prawo ni w lewo, jakby głęboko zamyśleni, milcząc kroczą po pustych bezludnych ulicach Warszawy. Tylko tu i owdzie szyldwach znużony z bagnetem na ramieniu chodzi około swej budki regularnie stąpając, jakby machina jaka, a odgłos podkutych jego butów uderzających o twarde kamienie bruku, daleko się rozlega; — tu i owdzie otwiera się opieszale okiennica, z za której wychyla się nie wyczesana jakaś i poziewająca głowa; tam znów skrzypiąc roztwierają się podwoje jakiegoś sklepiku a właściciel jego w szlafmycy, wytoczywszy się ociężale na ulicę, przeciąga się, że aż mu wstawy pękają, a ziewa tak szeroko, jak-

oy całe miasto chciał połknąć, spojrzę potem w niebo, czy pochmurne lub pogodne, zażyje poważnie tabaczki, przeżegna się, a szepcąc pacierze wróci do sklepiku; — tu i owdzie cichaczem i szybko przemknie się jakaś skrzętna służąca, zresztą cicho, pusto, głucho w ulicach Warszawy.

Pielgrzymi tymczasem, w których nie trudno poznać naszych znajomych, Piotra z żoną, mijają jedną i drugą ulicę, a idą i idą coraz dalej, wciąż zamyśleni i milczący, — przychodzą na ulicę Miodową i zatrzymują się przed kościołem Ojców Kapucynów.

Dobijają się do drzwi, ale drzwi jeszcze zamknięte.

— Zawczas się wybraliśmy, odzywa się Piotr, wszystko śpi jeszcze, trzeba nam będzie poczekać.

— Nic nie szkodzi, odezwała się żona, kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Zresztą Ojcowie Kapucyni nie lubią długo zasypiać; zadzwonimy tylko, a wnet nas wpuszczą do kościoła. A tymczasem uklękniemy sobie i przed kościołem pomodlimy się nieco.

Piotr zadzwonił, ukląkł obok żony u drzwi kościelnych, a oparłszy głowę o mur, ukrył twarz w dłonie i głęboko coś wzdychał. Za

chwilkę usłyszeli stąpanie wewnątrz kościoła, potem brzęk kluczy, nareszcie klucz wsunął się w zamek, zakręcił się, zawiasy skrzypnęły, drzwi się roztworzyły, i ukazała się w nich postać poważnego, brodatego Kapucyna.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zagadnął przybyłych, — a cóż was tak rychło do nas sprowadza?

— Na wieki wieków, — odpowiedzieli nasi, — przybyliśmy do Spowiedzi św. Czybyście nam dobrodziejaszku nie mogli zaprosić którego z Ojców?

— Zaraz, zaraz, wejdźcie tylko do kościoła i poczekajcie chwileczkę!

I wszedł z nimi do kościoła, objaśnił kno-tek w lampce płonącej przed Najświętszym Sakramentem, otrzepał z kurzu Wielki Ołtarz, a oddawszy głęboki pokłon Panu Jezusowi w Najświętszym Sakramencie utajonemu, znikł we drzwiach zakrystyi.

Piotr z żoną wszedłszy do świątyni Pańskiej upadł zaraz na kolana, a ucałowawszy ziemię, modlił się spoglądając co chwila na drzwi zakrystyi z pewną niespokojnością, — widzieć, że jeszcze się lękał Spowiedzi, tak jak dziecko nieroztropne lęka się lekarstwa, które mu zdrowie ma przywrócić!

Nareszcie wysunęła się z owych drzwi sędziwa postać w grubym tabaczkowym habicie powrozem przepasana; głowa srebrzystym okryta włosem, i długa bielutka broda minowoli uszanowaniem każdego przejmowała, a łagodne, ujmujące rysy twarzy świadczyły o dobrem, ojcowskiem jego sercu. Był to Ojciec Gaudenty, znany w całej Warszawie ze świątobliwości i mądrości. To też Piotr ujrzawszy go, ochłonął z przestachu, który go dotychczas był nie puszczał, i jakby ożył na nowo. Pomodliwszy się chwilę przed Wielkim Ołtarzem, Ojciec Gaudenty poważnym krokiem udał się ku najbliższemu konfesyonałowi i miejsce w nim zajął.

Piotr spojrział na żonę, ta zrozumiała jego spojrzenie, wstała i pierwsza poszła się spowiadać, przez co zyskał jeszcze parę minut zwłoki. Ale spowiedź Piotrowej niedługo trwała, bo licząc często do Sakramentu Pokuty św., i żyjąc przytem pobożnie, nie miała się wiele czego spowiadać, ani też spowiednik nie potrzebował wiele jej prawić nauk. Pojednawszy się więc z Bogiem, odstąpiła od konfesyonału; przyszła kolej na Piotra.

Biedny Piotr ciężko sobie westchnął, jakby miał iść na męki, wstał i powolnym, jakby niechętnym krokiem zbliżał się do trybunału

Miłosierdzia Bożego. Szedł, bo już nie mógł się cofnąć, ale gdyby tylko można, toby jeszcze pewnie był się wymknął z kościoła. Dosyć, że chętnie, czy niechętnie przystąpił do Spowiedzi św. Ojciec Gaudenty przeżegnał go, przyłożył ucho do kratki, zasłonił się stulą i zaczęła się Spowiedź.

I długo jakoś trwały szepty między grzesznikiem a spowiednikiem; minął kwadrans jeden, mija kwadrans drugi, a oni jeszcze szepcą a szepcą. Nareszcie Ojciec Gaudenty dobywa chustki, nos sobie wyciera, że aż po całym rozlega się kościele, powoli, jakby zamyślony żarzywa tabaczki, — znać że zbroi się i siły zbiera do silnego szturmu.

Oj! źle ci będzie panie Piotrze, już się Ojcu Gaudentemu nie wyślizniesz, bo jak on się na kogo uweźmie, to nie ustąpi, póki go Bogu nie zdobędzie! — I, otóż teraz już nie szepty dolatują uszu modlącej się na uboczu Piotrowej. — ale coś jakby szlochanie, czy głębokie westchnienia, a serce jej ledwie nie wyskoczy z radości, boć to znak oczywisty, że jej Piotra łaska Bożka skruszyła i w samo serce ugodziła.

Nareszcie Ojciec Gaudenty odchrząknął, widać że skończył Spowiedź, przeżegnał Piotra ze skruchą bijącego się w piersi, zakolał w

konfesyonał i Piotr powstał, odetchnął, jakby mu ktoś młyński kamień z serca był zwałił, zbliżył się do żony, spojrzał na nią okiem zalazawionem jeszcze, ale w tem oku była taka radość, takie zadowolenie, takie szczęście, jakby nie na ziemi się znajdował, ale do nieba już był przeniesiony. Ach! bo też nie ma szczęścia na świecie, jak szczęście grzesznika, kiedy z Bogiem się pojedna, boć wszakżeż i w niebie nawet największa Aniołom i wszystkim Świętym radość, kiedy dusza, będąca już w mocy szatana, wraca do Ojca swego Niebieskiego!

Tymczasem słońce było weszło i rzucało jasne promienie przez okna do wnętrza kościoła; ludzie po troszę zaczęli się gromadzić w świątyni; tu w kącie jakiś dziadek głośno szepce pacierze; tam przy drzwiach stara jakaś babinka spuszcza jeden po drugim paciorki na orzechowej koronce, tu i owdzie widać i w ławkach parę osób modlących się. I na dworze już więcej życia; dochodzi uszu turkot wozów, krzyki sprzedających i gwar przechodniów. W tem zadzwonił dzwonek zawieszony przy zakrystyi, wychodzi Msza św.

Na odgłos dzwonka Piotr jak długi rzuca się na ziemię, wyciąga ręce na krzyż i korząc się w prochu, przeprasza Boga za tysiączne swe

wykroczenia. Obok niego rzuciła się krzyżem na ziemię żona jego, dziękując Bogu za okazane nad mężem miłosierdzie i prosząc o łaskę wytrwania dla niego. I tak leżeli oboje przez całą Mszę św., ukorzeni przed Majestatem Boga i Zbawiciela swego, który właśnie zstąpił na ołtarz i ofiarował się przez ręce kapłana pod ubożuchną postacią chleba i wina za ich i całego świata grzechy.

Skończyła się Msza św. Piotr z żoną podnieśli się, zostawiając na kamieniach posadzki ślady łez obfitych, on łez żalu i radości, ona łez radości i wdzięczności. Daj nam Boże wszystkim łez takich całe wylewać potoki!

Zadzwoniono do Komunii św.; oboje przystąpiwszy do kratek z największą pokorą i widocznym rozrzewnieniem przyjęli Chleb anielski, przyjęli Ciało i Krew Najświętszą Zbawiciela, zadatek nieomylny żywota wiecznego i chwalebnego Zmartwychwstania. I czegoż im jeszcze było potrzeba? Byli pojednani z Bogiem. Boga żywego przyjęli do serc swoich, mieli więc wszystko, czego tylko człowiek tu na świecie pragnąć może!

To też pomodliwszy się jeszcze przez czas niejaki, wyszli z kościoła. Piotr nie mogąc dłużej powstrzymać wybuchu radości, nie zważając

na przechodzących ludzi, rzucił się żonie na szyję i ściskając ją, zawołał:

— O moja żonę kochana, czemuś mię też prędeż do Spowiedzi nie zaprowadziła! Jakim teraz szczęśliwy, jaki rad, wypowiedzieć ci nie zdołam! Ale już teraz uwierzysz mi, że dotrzymam com obiecał?

— Teraz wierzę, że dotrzymasz, — odrzekła żona. — Bogu Najwyższemu niech będzie cześć i chwała za miłosierdzie, jakie okazał nad nami! A teraz spieszmy ku domowi, bo mamy dziś jeszcze wiele do czynienia, a tobie wnet czas iść do warsztatu.

Tegoż dnia z rana przyszedłszy do tokarni, dowiedział się Kazimierz najprzód, że zeszłej nocy w tokarni coś chodziło i toczyło; że to pewnie był duch zmarłego czeladnika Zygmunta i że nikt nie odważył się tam zajrzeć.

Potem dowiedział się od Mikołaja, że pan Karol chce Piotra oddalić ze swego warsztatu, bo już mu za często bryka i już znowu drugi dzień nie stanął do roboty.

— Ot szkoda Piotra, pocciwy był człowiek, — dodał Mikołaj; — żeby w tego Szrajbera piorun palnął, że go tak rozpoił!

Dowiedziawszy się o tem Kazimierz, pobiegl natychmiast do pana Karola i prosił go

o przebaczenie dla Piotra, zapewniając, że Piotr już nigdy nie będzie się upijał, że odtąd będzie pewnie najlepszym i najporządniejszym robotnikiem.

Nie chciał zrazu przystać pan Karol bo mówił:

— Oto widzisz, mój Kazimierzu, miał mi Piotr wczoraj wieczorem oddać swoją robotę, która była zamówiona, a wiesz, że lubimy słowa dotrzymywać; tymczasem przez cały dzień w warsztacie się nie pokazał i robota jego zaległa.

— Robota jego jest gotowa, — rzekł na to Kazimierz.

— A któżby ją był ukończył? — zapytał się pan Karol. Wszak takiej roboty tylko Piotr mógłby się podjąć.

Kazimierz z uśmiechem poskoczył do to-karni, wziął z warsztatu Piotra ukończoną robotę i przyniósł panu Karolowi.

Ten zdziwiony, zapytał:

— Któż to zrobił?

— Duch dzisiejszej nocy, — odrzekł Kazimierz, śmiejąc się.

Zrozumiał go pan Karol, uścisnął serdecznie, ucałował jak syna i rzekł:

— Ty figlarzu! to ty mi będziesz po no-

cach za drugich pracował, żebyś zachorował, żeby potem twoi rodzice za to proces mi wytoczyli? Poczekajno! muszę ja cię lepiej kazać pilnować w twojem łóżku!

A Kazimierz, dziękując panu Karolowi, zapytał się:

— Jakże, czy Piotr zostanie?

— A któżby tobie czego odmówił! — odrzekł pan Karol.

Kazimierz wrócił do tokarni z rozradowanem obliczem, i wchodząc, zawołał:

— Zostanie Piotr, uprosiłem pana Karola!

A towarzysze jego, którzy pode drzwiami podsłuchiwali byli jego rozmowę, skoro Kazimierz wszedł, wszyscy razem rzucili się do niego, ściskali go serdecznie, wołając:

— Niech żyje Kazimierz, obrońca nieszczęśliwych!

Ledwie się uciszyło, a każdy stanął koło swego toczydła, kiedy się drzwi otworzyły, i wszedł Piotr Stropski.

Zwykle dawniej po takiej przerwie w swojej robocie i po takiej pijatyce przychodził do tokarni bardzo szumnie, z czapką na głowie, ze śpiewką hulacką na ustach, jak gdyby coś bohaterского był popełnił, że się upijał, a jego towarzysze tedy zwykle żartowali sobie z niego,

podrzeźniali po nim, dokuczali mu, a on jak mógł, tak im się odcinał. — Teraz wszedł cichutko, z odkrytą głową, poważnie, w twarzy jego widać było wstyd i żal. Pozdrowiwszy wszystkich razem, przystąpił do Kazimierza. Porwał go za rękę, ścisnął ją silnie, chciał coś mówić, lecz był tak rozczulony, że łzy cisnęły mu się do oczu. . . . i słowa nie powiedziawszy odwrócił się szybko, poszedł do swojego toczydła siadł i pracował spokojnie.

Zadziwiło wszystkich to postępowanie niezwykle Piotra, lecz nie przeszkadzali mu, nie zaczepiali go, bo dostrzegli w nim ogromnej zmiany. . . .

Warczały toczydła, trzaski pryskały, dłutka dłużyły, a wspólnej pracy wspólna towarzyszyła piosnka, która i serce rozweselała i do pracy zagrzewała.

I tak skończył się dzień, ważny dla Piotra, a pełen miłych wspomnień dla Kazimierza.

Wieczorem Kazimierz ubrawszy się, wyszedł na ulicę, chcąc odwiedzić na Pradze starego garbarza, który nie trudnił się już rzemiosłem, lecz siedział spokojnie na swoim gospodarstwie, składającym się z porządnego domku i dostatecznego kawałka gruntu. Najchętniej Kazimierz tam do niego uczęszczał na pogawędkę.

bo garbarz opowiadał mu różne dzieje, na które sam patrzył, lub w których sam brał udział.

A opowiadania jego tem więcej zajmowały Kazimierza, że garbarz znał się dawniej bardzo dobrze z jego ojcem Stefanem, z którym nawet razem w tych samych szeregach wojenkę odbywał, był też i nieco podobien do jego ojca z tego, że jak ojciec Stefana miał kresę przez twarz, tak garbarz szczycił się ogromną blizną na czole.

Puścił się więc Kazimierz ku Pradze; aż tu nagle słyszy za sobą spieszne kroki, a obróciwszy się, widzi szybko za sobą idącego człowieka, w którym wnet poznaje Piotra.

Ten przystąpiwszy do niego, nieśmiało odezwał się:

— Panie Kazimierzu, nie chciałbyś nas odwiedzić?

Namyślił się chwilkę Kazimierz, ale pomyślawszy sobie, że do garbarza szedł dla własnej przyjemności, a u Piotra możeby coś dobrego mógł uczynić, odpowiedział:

— Chętnie pójde z wami, panie Piotrze!

Kiedy tak idąc obok siebie zbliżyli się do mostu prowadzącego na Pragę, a Kazimierz chciał go minąć, rzekł Piotr, wskazując na most:

— Tędy, panie Kazimierzu!

— Jakto? — odrzekł Kazimierz zdziwiony; wszakże nie tędy.... lecz uciał w mowie bo nie chciał się wydać, że znał kiedykolwiek Piotra mieszkanie.

— A Piotr rzekł:

— Od dzisiaj. .. tędy droga do mnie.

Domyślił się z tego Kazimierz, że Piotr się przeprowadził dnia dzisiejszego, że kiedy on sam pracował w warsztacie, żona jego tymczasem przeniosła ruchomości gdzieindziej. — I szli oba w milczeniu, jeden obok drugiego, przeszli most, przeszli ulicę jedną, drugą, trzecią, aż ku wielkiemu Kazimierza stanęli przed schludnym, białym domkiem garbarza.

— Wszak tu mieszka Bartłomiej, garbarz zawołał Kazimierz.

— A my u niego, odrzekł Piotr; proszę za sobą!

Wszedł Piotr do domu, a za nim Kazimierz. Sień jasna dzieliła domek na dwie części. Po lewej stronie były drzwi; te otworzył Piotr i wskazując do pokoju, rzekł:

— Oto moje mieszkanie.

Pokoik był czysty i widny, okienka jasne, ściany białe, sprzęty najpotrzebniejsze prosto wprawdzie, ale chędogie. Nad jednym z łóżek wisiał ów znany nam obraz Matki Bożkiej, a przed

im lampka. Z tego pokoiku prowadziły drzwi do drugiego niniejszego, z którego dolatywała niłym głosem dziewczęcym śpiewana piosenka, jaką to po naszych domach śpiewają nad kołymi dziećmi. Głos ten poznał Kazimierz, był to głos Zosi nad małym braciszkiem.

Po wejściu Kazimierza ukazały się z małego pokoiku Piotrowa z Zosią, obie czysto i schludnie ubrane.

Kazimierz, jakby odurzony tą nagłą zmianą, stał i patrzył niepewny, czy to sen, czy rzeczywistość. Obok niego stał Piotr z wypogodzonym czołem, z wesołym okiem.... a za nimi wsunął się cichaczem ktoś trzeci.

W pierwszej chwili nikt słowa nie przemówił, wszyscy czuli szczęście, nikt nie chciał tego uczucia przerywać. Aż tu nagle ktoś z tyłu huknął głosem:

— A do stu Krakusów, to ty Kazimierzu jakie figle płatasz pokryjomu, a mnie o tem nic nie gadasz? Rozmówimy się potem!

Był to głos starego garbarza, który dowiedziawszy się od Piotra o szlachetnym czynie Kazimierza, wsunął się był za wchodzącymi, i tak donośnym głosem zabrzmiał w tę ciszę.

Zapłoniony Kazimierz chciał się wymawiać; ale ba! tu już nic nie pomogło. — Do stu Kra-

kusów! wołał co chwila stary garbarz, niby zagniewany, a jak przysiadł Kazimierza, tak ten musiał mu się do wszystkiego jak na Spowiedź przyznać.

Nie dziękowano mu pięknymi słówkami, nieprawiono mu grzeczności i pochwał; z szczerego nawrócenia się Piotra, z niewymownej radości jego żony i małej Zosi, z gadatliwości pocziwego garbarza czerpał Kazimierz najrzetelniejsze podziękowanie. Teraz dopiero dowiedział się, że Piotr z żoną dzisiaj rano byli u Spowiedzi świętej, że potem sprowadzili się do tego domu, ponieważ Piotr nieraz słyszał, jak Kazimierz w warsztacie i przy innych sposobnościach chwalił garbarza; że za owe cztery talary i za nieco pieniędzy oszczędzonych przez Piotrową posprawił sobie co najpotrzebniejsze sprzęty; że Piotrowa dawno w ukryciu przed mężem chowany lepszy przyodzievek teraz wydobyła, i na przyjęcie Kazimierza siebie i swoich dzieci ustroiła.

Zasiedli wszyscy koło stołu i gwarzyli. Zosia pokazywała Kazimierzowi książeczkę, którą jej dawniej mama była kupiła, a którą prawie już na pamięć umiała, nie mając innej do czytania; a była „Historia polska” z obrazkami.

Przy tej sposobności Kazimierz jej opowiadał różne a różne wypadki, których w jej książ-

ce nie było, szczególnie o sławnych Polkach — ona go słuchała bardzo ciekawie i uważnie, zyniąc mu przytem wiele zapytań.

Tymczasem matka szyla bieliznę, przysłuchując się z widocznem ukontentowaniem rozmowom Kazimierza z Zosią, a stary garbarz zażywając od czasu do czasu tabaczki, żywo o czemś rozprawiał z Piotrem.

I tak nie wiedzieć jak nōc się zbliżyła; Kazimierz wstał i zabierał się do wyjścia.

— Już to pan odchodzisz? — zapytała się żalem Zosia.

I Kazimierzowi jakoś dobrze tu było, ale różna pora nie pozwalała dłużej się zatrzymać.

Zresztą stary garbarz zerwawszy się ze swej stołki, zawołał:

— Ba, ba, ba! do stu Krakusów! toć to już żżno, a choć tu nam razem jakoś nieźle, to jednak nie możemy całej nocy kusić. Chodź, Kazimierzu! spokojnej nocy! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

I rozeszli się.

Tak Kazimierz usilną pracą i poświęceniem wojem wielkiego dokonał dzieła: nawrócił grzesznika, pozyskał go Bogu i uszczęśliwił przez to całą rodzinę. Takie czyny Bóg tylko jeden umie ostatecznie wynagradzać.

IX.

Fraczek czy Czamara.

Nauki, o które Kazimierza jego towarzysze prosili, odbywały się jak najregularniej, bo też i on sam bardzo ładnie umiał opowiadać rzeczy z dziejów ojczystych i przynosił bardzo piękne książki, z których zwykle sam czytywał, objaśniając lub dodawając, co było potrzeba, tak żeby każdy wszystko rozumiał. Po nauce następowała zawsze budująca i nauczająca pogadanka, albo też uczciwą jaka zabawa.

Na te nauki uczęszczali nie tylko wszyscy robotnicy z tokarni pana Karola, ale i z sąsiedztwa przybywali rozmaici rzemieślnicy, jako to: stolarze, szewcy i inni; jako znajomi, chcieli i oni korzystać z tych wspólnych nauk.

Między tą młodzieżą było dwóch czeladników stolarskich: Albert i Leopold. Ojcowie ich przed dawnemi czasy przyszli byli z zagranicy do Warszawy, osiedli tutaj, poženili się uczciwie sobie pracowali.

Synowie ich, Albert i Leopold, chociaż w różnych pracowali warsztatach, gdy tylko mogli, razem z sobą przebywali, zawsze ich razem wilywano w dniach wolnych od roboty, jakby eden bez drugiego żyć nie mógł, tak że gdzie Albert był, tam Leopolda pewnie znaleźć było można.

A byli to wcale nieszpetni młodzieńcy, w rzemiośle biegli, trzeźwi, pracowali już nawet sami na siebie, a byli nie bez nauki i pewnej ogłady; przy tem uprzejmi i usłużni dla każdego, słowem, wcale przyjemni ludzie.

Ale cóż z tego wszystkiego, kiedy w wielu rzeczach mocno się różnili od wszystkich towarzyszków. Kazimierza, a szczególnie od niego samego.

Ubierali się jakoś dziwacznie. Kiedy to w Niedzielę lub Święto czeladź rzemieślnicza się zeszła na nauki, to aż serce skakało z radości, gdy się spojrzało po dzielnych chłopakach. Każdy był w szacie świątecznej: przestronne sukmany, albo czamarki, gdzieniegdzie nawet i kontusz, szerokie szarawary, buty faldziste, czapki z bobrami, a starsi z wąsem zawieszistym pod nosem. Gdyby ich pradziadowie jakim cudem z grobów powstałi, toby się pewnie takich potomków nie wyrzekli; owszem, ucieszyli by

się, widząc, że wnukowie nie odstąpili od pięknego stroju Ojców swoich.

Lecz ci dwaj przyjaciele inaczej wyglądali. Kiedy się wystroili w swoje fraczki, twarze gładko wygolili, to tak jakoś kuso, spieczato, obcięto wyglądali, że ni rękę uchwycić, ni oko fałdy jakiej dopatrzyć nie zdołało. Byli zaiste podobni do suchych lasek, sterczących między bujnemi drzewami. Zapomnieli biedacy, albo nie wiedzieli o starej śpiewce mazurskiej:

Nie cyń gzechu niecystego,
Szez się stroju niemieckiego.

Zapomnieli, że za

Jana Trzeciego, gdy Wiedeń wslawił,
Głos był powszechny między Niemkami:
Oto król polski, co nas wybawił,
Jakże mu pięknie z temi wasami!

Kiedy wszyscy, zachowując staropolskie obyczaje, koło Bożego Narodzenia śpiewali sobie kolendę, a krzykali z całego gardła: — Hej! wino, wino, wino, lepsze niż przedtem było w Kanie Galiilejskiej, — kiedy wszyscy w Adwencie i przed Wielkanocą zachowywali ścisły post, kiedy inni do kościoła co Niedzielę i Święto chodzili, narodowe pamiątki historyczne wspólnie obchodzili, zgola całem życiem swem i postępowaniem pokazywali, że nie tylko duszą, ale

i ciałem, nie tylko w sercu, ale i zewnątrz byli katolikami i Polakami; to ci dwaj tymczasem mówili, że to wszystko rzeczy podrzędne, że można tego wszystkiego zaniechać, a jednak być dobrym Polakiem.

Nieraz chlubili się, że bywali na nabożeństwie w cerkwi schizmatyckiej, aby napatrzeć się nowym ceremoniom, bo swojego kościoła ceremonie już dobrze znają; jakby to do kościoła chodziło się z ciekawości, niby na komedye jakie; inny raz opowiadali, że byli w zborze dysydenckim na powszechnej spowiedzi, i że się bili razem z wszystkimi w piersi. Opowiadali te rzeczy, jakby je widzieli gdzie na jakiej komedyi lub w teatrze, i śmiali się przy tem, jakby coś dowcipnego byli zrobili.

I posmutniał Kazimierz, widząc, że ci dwaj młodzieńcy nie zachowywali się tak jakby na prawdziwych synów Kościoła i Ojczyzny przystało; inni zaś towarzysze radzili Kazimierzowi, aby ich nie przypuszczał do towarzystwa, żeby z nimi nie przestawać, kiedy się pomimo przedstawień nie chcą poprawić i zastósować do obyczajów narodowych.

Lecz Kazimierz na to odpowiedział:

— Czyż tym sposobem ich poprawimy? Czy tem wykluczeniem nie utwierdzimy ich je-

szcze w uporze? Poczekajmy cokolwiek, przyjdzie czas, gdzie i oni prawdę uznają i poprawią się!

Z tego powodu nie omieszkiwał Kazimierz kiedy się zdarzała pora, dawać Albertowi i Leopoldowi zbawiennych rad, napominać ich czasem, czemu tak się przebierają po cudzoziemsku i chcą odróżniać od całego narodu, skoro uważają się za Polaków i chcą, żeby wszyscy za Polaków ich mieli.

Oni mu na to:

— A Francuzi, Anglicy, narody najpotężniejsze i najwięcej wykształcone, czy ubierają się po francuzku lub po angielsku? Im który naród rozumniejszy, tem więcej zbliża się do obyczajów powszechnych światowych, zarzucając narodowe.

A Kazimierz na to:

— Nie wiem, czy Francuzi i Anglicy ubierają się po obcemu, ale to wiem, że wieśniacy i rzemieślnicy i wszyscy, co należą do stanu średniego, i którzy stanowią właściwy naród, wszędzie mają swój właściwy ubiór, z dawien dawna przyjęty i zachowywany. Ale zresztą nas Polaków nie można zupełnie równać z Francuzami i Anglikami. Francuzi i Anglicy mają swój własny rząd narodowy, są wolni i niepod-

legli. Nikt obcy nie zagraża ich narodowości, nie potrzebują obawiać się, aby przemocą lub podstępem nie zostali pozbawieni języka i obyczajów ojczystych, czyli swej narodowości. My zaś Polacy, czy w równem znajdujemy się położeniu? Męczennicy chrześcijańscy, którzy teraz w niebie królują, wiarę Chrystusową nie tylko w duszy i w sercu chowali, lecz jawnie i wszędzie usty i czynami ją wyznawali, i żadna potęga ludzka wygładzić jej nie zdołała. Jak więc nasza święta religia wymaga, abyśmy ją nie tylko w sercu, lecz także publicznie wyznawali: tak i Ojczyzna nasza żąda, aby jej synowie i wewnątrz i zewnątrz wyznawali, że są jej synami, że są i chcą być Polakami. Wiele już złego spłynęło na naszą Polskę z tego, że wyższe klasy nie łączyły się z ludem, że zarzucały strój i obyczaje narodowe. Jakże to naprawić? Oto łączyć się z ludem i pozyskać jego serce, wracając do dawnego stroju i do dawnych obyczajów, a wtedy lepsze niezawodnie czasy nastąpią. — Tak, moi kochani, lud nasz ma was za obcych i za cudzoziemców, bo nie zagląda do waszej duszy, ale sądzi was z waszej powierzchowności. Pokażcie mu się w tym waszym cudzoziemskim stroju, czy uzna was za rodaków? Pewnie nie. Sami może tego z czasem doświadczycie.

Poznawali powoli Albert i Leopold, że Kazimierz miał słuszość, i na te słowa jego nic dorzecznego odpowiedzieć nie mogli, bo też świętą prawdę im mówił; a jednakże pozostali czem byli, i tak jak dawniej, we fraczki się stroili. A dla czego? Ot, trochę z uporu, a więcej może z fałszywego wstydu.

Niezdługo jednak miała się przepowiednia Kazimierza ziścić.

Razu pewnego, było to w Sobotę, już wieczorem szedł Kazimierz przez plac Grzybowski, gdzie się odbywa targ na zboże, słomę i siano, i przypadkiem spotkał się z Albertem.

— A dokąd to? — zagadnął go tenże.

— Ja, na Pragę — rzekł Kazimierz.

— Pewnie do Piotra?

— Tak jest, do Piotra, a ty?

— Ja, ot tak na przechadzkę.

— To odprowadź mnie do mostu, jeśli łaska.

— I cwszem; chodźmy!

Kiedy tak szli razem, zaszedł im drogę jakiś włościanin, porządnie ubrany w szarej sukmanie, w butach z wysokimi cholewami; skłonił im się nisko, a zwracając się do Kazimierza, tak go zagadnął:

— Proszę też pana, czy nie wie pan, gdzie mieszka młynarz Kamieński? Kilka dni temu zamówił u mnie żyto, a tu go szukam i jeżdżę już od dwóch godzin po mieście, a nikt mi nie umie powiedzieć! Czyliby pan nie wiedział, gdziebym go znalazł?

Kazimierz zastanowił się: Kamieński? Kamieński? — i jakby sobie przypominając, wskazał na Alberta i rzekł:

— Ot ten pan wam powie, bo zdaje mi się sąsiaduje z tym młynarzem Kamieńskim.

— Ba! dobrze że powie, — rzekł kmieć — kiedy bo ja może tego pana nie zrozumieć. Jabym wołał, żeby mi właśnie pan powiedział!

Albert urażony do żywego fuknął:

— A to czemu byście mnie nie zrozumieli? Czy gadam po turecku?

— Ach! to pan mówi po naszymu? — zawołał kmiołek zadziwiony, a spojrzawszy po jego obcym stroju, dodał: — Anibym się tego był spodziewał.

— A to czemu? — zapytał się Kazimierz.

— Z przeproszeniem panów — rzekł kmiołek — bo nasi panowie tak cienko nie wyglądają. Nawet nasz pan dziedzic, choć chuderlawy, ubiera się suto, i wygląda statecznie, że jest przecie na co spojrzeć.

— No, widzisz, pocziwy przyjacielu, — rzekł Kazimierz, — że czasem i nasi sobie żartów pozwalają.

— Aha! to figiel, — zawołał pocziwy kmiotek. He, he, he! — ja sobie zaraz pomyślał, że to jakiś żart: gada po naszymu a chodzi po obcemu. Ja też pana bardzo przepraszam, bo to wiejskiemu człowiekowi co w sercu to i na języku. No, a teraz proszę pana: gdzie to pan Kamieński siedzi?

— Poprowadzimy was obaj, — rzekł Kazimierz, i poszli z kmiectem i jego wozami.

W drodze rzekł Kazimierz do Alberta:

— Widzisz, mój drogi, że lud nasz czuje pociąg ku swojemu, tak jak ten oto kmić ku mnie; a kogo w obcym widzi stroju, od tego stroni, nie dowierza mu wcale.

Albert jakoś ani słówka nie odrzekł — i szedł tak w milczeniu, aż się zbliżyli do domu Kamieńskiego, a nie rzekłszy ani słowa, wskazał kmiotkowi ręką na dom.... i odszedł.

A kmić poglądając za nim zawołał tak, że odchodzący mógł go jeszcze dosłyszeć:

— Co to za człowiek jakiś, nawet podziękowania mego nie chce. Ha! to już więcej niż żarty, i pokręcił głową.

Kazimierz pożegnawszy pocziwego kmiecia poszedł na Pragę, dziękując w duchu, że przyjaciel jego przypadkiem tej prawdy teraz doświadczył na sobie, którą on mu ciągle powtarzał.

Niebawem także i Leopold miał odebrać podobną naukę.

Oto nazajutrz, to jest w Niedzielę, Kazimierz idąc na zwykłą rozmowę wspólną do jednego z swoich towarzyszków, u którego właśnie pokój był obszerniejszy, ujrzał przed sobą o kilkanaście kroków Leopolda wystrojonego z cudzoziemska. Szedł za nim i myślał o dzisiejszem zgromadzeniu, które miała zaszczyścić swą obecnością pewna osoba poważna i dostojna, uproszona przez Kazimierza.

W chwili, kiedy Leopold skręcał na roku ulicy, zbliżył się do niego żyd żebrak, a mając go za Niemca, rzekł do niego po niemiecku, wyciągając rękę:

— Gnädiger Herr! ich bin ein armer Bettler! — co znaczy po polsku: Łaskawy Panie! jam biedny żebrak!

Oburzył się Leopold na żebraka i fuknął:

— Co ty do mnie gadasz obcym językiem? czy nie umiesz po polsku?

— Ach! jam myślał, że wielmożny pan nie

tutejszy, — odrzekł żyd chudzina, bo tak nasi nie chodzą.

— Idź, głupcze stary, — zawołał rozgniewany Leopold, a na drugi raz gadaj po polsku!

I odszedł nie dawszy mu ani grosza. — Żle sobie postąpił Leopold, bo najprzód niesłusznie rozgniewał się na żebraka, który go nie znał, a potem, co gorsza, starca poważnego w gniewie głupcem nazwał, czego nigdy czynić się nie godzi, bo starszych należy się szanować, choćby byli żebrakami!

Słyszał tę krótką rozmowę Kazimierz i cieszył się z tej przygody Leopolda, a przechodząc koło tego żebraka, dał mu złotówkę. Żyd wznosząc ręce mówił sobie:

— Ach! co nasz, to nasz! Daj mu Boże szczęście!

Przyszedłszy na naukę, zastał Kazimierz już wszystkich zgromadzonych. Spojrzał na Leopolda szepczącego coś z Albertem, i dosłyszał tylko tych słów Leopolda:

— Mnie żebrak nie poznał.

A Albert dodał:

— A mnie jakiś chłop miał za Niemca.

Słyszając to Kazimierz uśmiechnął się z radości, że małe te zajścia uliczne taki wpływ

wywarły na tych młodzieńców, ale nic nie mówił, czekając co się dalej stanie.

Kiedy się nieco gwar uciszył, zabrał Kazi-
nierz głos i tak przemówił do zgromadzonej
wiary:

— Bracia! Oto już dość długo schodzimy
się na wspólną naukę i pogawędkę, i tuszę so-
bie, że nauka ta nie była dla nas bezużyteczną.
Niech każdy z was przypomni sobie, czem był
i co umiał przedtem, a czem jest i co umie te-
raz. Nie prawda, że wielka różnica? Sami to
sobie, swojej pilności zawdzięczacie. Dziś przy-
gotowałem dla was przyjemną niespodziankę.
Znacie wszyscy pana Józefa! Czcigodny ten
starzec dawniej był profesorem przy wysokich
szkołach, a nawet uczone książki pisywał.

Potem, gdy za to, że kochał Ojczyznę,
stracił urząd i nie miał się z czego utrzymać,
chwycił się rzemiosła i wyuczył się ślósarstwa;
bo jako mądry człowiek wiedział, że praca
uczciwa nikogo nie hańbi, i owszem zdobi czło-
wieka; i że lepiej młotem i pilnikiem zapraco-
wać na kawałek chleba, niż obcej łaski wyglą-
dać. A pracował pilnie i z Bogiem; panowie
nasi też mu nieco dopomogli, i oto za łaską
Bożką dorobił się już pięknego majątku: ma
dziś już kilka kamienic w Warszawie, a w ku-

źniach swoich do kilkudziesiąt utrzymuje czeladzi. Aż miło człowiekowi, kiedy widzi tak zacnych ludzi, co to i w głowie mają nauki nie mało, i do pracy uczciwej się nie lenią, jak oto pan Józef, którego dziś cała Warszawa czcí i poważa. Nawet sam widywałem nieraz, jak najwięksi panowie odwiedzali go i witali się z nim, jakby z równym sobie. Tak to uczciwość, nauka i praca człowieka uzacnia i wywyższa! Otóż co powiecie? Ten pan Józef przyobiecał mi, że dziś przybędzie na nasze zgromadzenie i przypatrzy się temu, co się u nas dzieje. Zaszczyt to dla nas nie mały, że tak zacny i powszechnie poważany obywatel nasze małe kółko raczy nawiedzić.

— Otóż właśnie idźcie! — rzekł spojrzawszy przez okno, a wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom, które się otworzyły, a w nich ukazał się pan Józef.

Był to sobie starzec szpakowaty, wysoki i poważny, ale dziarski jeszcze i pełen życia; widać że pracowite życie służyło jego zdrowiu. Wszedłszy do izby, pochwalił pana Jezusą, a powitany przez Kazimierza, w te słowa do towarzystwa się odezwał:

-- Słyszałem, moi kochani, że w wolnych chwilach zatrudniacie się pilnie i pożytecznie

nauką; bardzo to pochwałam i życzę, żebyście i wy sami jak najlepiej postępowali i innych swoim przykładem za sobą pociągnęli. O! uczcie się! uczcie! bo nauka uzacnia człowieka i zbliża do Boga; nauka uczy nas wynajdywać rozmaite sposoby zarobku i niezliczone inne zapewnia nam korzyści. A jak każdemu z nas tak i całym narodom nauka jest nader pożyteczną. Im naród oświeceńszy, tym też potężniejszy. Żadna srogość, żadne prześladowanie, żaden ucisk nie zdołają go zgnać. A więc uczcie się! Z nauk zaś wszystkich te są najpotężniejsze, które nas obeznawają z tem, co najwięcej kochać powinniśmy, to jest z Bogiem i Ojczyzną. Uczcie się więc wiary świętej przede wszystkim, a starajcie się też obeznawać z dziejami naszej Ojczyzny, jakieście to już z niezłym skutkiem rozpoczęli. Do takiej nauki mogę tylko powiedzieć: Szczęść wam Boże!

— A teraz, mój Kazimierzu, przedstawę mi towarzyszków!

Kazimierz na to wezwanie jął każdego z osobna panu Józefowi przedstawiać, wymieniając nazwisko towarzysza i rzemiosło. A pan Józef uprzejmie z każdym rozmawiał, wypytywał się o majstra, o rodziców, o pracę, a każdy się cie-

szyl, że starzec i do niego choć kilka słów przemówił.

Kiedy Kazimierz tak kolejno jednego po drugim przedstawiał, zauważył, że Albert i Leopold to bledli, to czerwienili się i kryli się za innych, jakoby unikając rozmowy z panem Józefem. Przeczuwali widać coś dla siebie nieprzyjemnego. Ale nakoniec przyszła i na nich kolej. Zbliżył się starzec do tej pary: stali jeden przy drugim ze spuszczonei oczyma, a cisza wielka się zrobiła; — wszystkich oczy zwróciły się ku nim!

Pan Józef nie czekając, aż Kazimierz ich przedstawi, spojrzał na nich tak jakby z zadziwieniem, a wskazując na nich, rzekł do Kazimierza:

— A ci! pewnie nie dawno z zagranicy przybyli!

Potem zwracając się do nich rzekł:

— Gdzieżeście to bywali? Byliście pewnie w Niemczech, widać strój jeszcze nie nasz.... no, no, to potem, potem, ale im prędzej tym lepiej. Jakże, czy zgadłem?

Stali obaj nieruchomi, słówka nie mogli wydobyć z siebie na odpowiedź, aż Kazimierz, widząc ich zakłopotanie, odezwał się:

— Są to bardzo zacni czeladnicy stolarscy, pracowici i moralni; za granicą jeszcze nie byli, ale we własnym kraju wyuczyli się tak tego swego rzemiosła, że śmiało mogą iść w zawody z zagranicznymi.

— To bardzo ładnie.... — odrzekł pan Józef, — ale jeszcze byłoby ładniej, gdyby.... — i tu uciął mowę, zmierzył ich jeszcze raz okiem od stóp do głów.... potem jakby z ubolewaniem dodał:

— Sądziłem rzeczywiście, żeście nie nasi!

Na tem skończył, przejrzał książki, z których się uczono i czytano, pożegnał wszystkich i oddalił się.

Po odejściu pana Józefa wielka panowała radość między zgromadzoną czeladzią; tylko zajście z Leopoldem i Albertem przykre im było. Jeden nawet z pomiędzy nich zawołał:

— Hej! Albercie i Leopoldzie! już też dłużej nie wytrzymam, jak pozostaniecie tak upartymi.... i chciał dalej mówić, szukał tych, do których mówił, lecz szukał nadaremnie. Nie było ich, wymknęli się cichaczem od nikogo niespostrzeżeni.

Następnej Niedzieli wszyscy jak zwykle zgromadzili się na naukę; Kazimierz jeszcze nie

rozpoczął czytania, bo brakło Leopolda i Alberta.

Mówili mu niektórzy:

— Zaczynajmy, oni już pewnie nie przyjdą; tak ich pan Józef zawstydził, że się nam już pewno nie pokażą.

Aż tu nagle otworzyły się drzwi i weszli oczekiwani młodzieńcy; ale w jakim stroju! W sutych, gęsto szamerowanych czamarach, w szerokich szarawarach, w fałdzistych butach, a w ręku trzymali czapki z bobrami!

Tedy widząc ich w takim stroju, krzyknęli wszyscy:

— Niech żyją nasi bracia! — i zaczęli ich ściskać, całować, i śmiali się i cieszyli, jakby z wielkiego jakiego zwycięstwa.

A oni rzekli:

— A co, przyjmiecie nas teraz za braci? Wszak teraz nie tylko duszą, ale i strojem jesteśmy Polakami! Wam to zawdzięczamy, kochani towarzysze, a szczególniej tobie, panie Kazimierzu; — i po bratersku z Kazimierzem się uściskali.

Piękny to zaiste był czyn ze strony Kazimierza; kto inny byłby nimi wzgardził, on ich nawrócił; lecz pięknie także było z ich strony,

że kiedy inni ze wstydu lub oporu nie byliby ani kroku ustąpili, to oni przyjęli prawdę do serca i poprawili się.

X.

Powrót do domu i wyprawa w podróż.

Widzieliśmy, jak Kazimierz w Warszawie czasu tylko zbawiennie używał: część poświęcał na wydoskonalenie się w rzemiośle, część na oświecanie i poprawianie swoich towarzyszków. Tak postępując zjednał sobie w wysokim stopniu miłość ostatnich, a u pana Karola już od dawna był za syna uważanym. Po trzyletnim pobycie w jego domu i pracowni takiej nabył wprawy, tyle skorzystał z wykładów szkólnych, że mu raz pan Karol powiedział:

— Widzę z bólem serca, mój Kazimierzu, że wkrótce nadejdzie czas, kiedy nas opuścisz.

— Moja tokarnia i wszystkie inne w Warszawie za małe już są dla ciebie; a szkodałoby było, gdybyś się dalej w swoim zawodzie nie miał kształcić. Idź w świat, mój drogi, przejdź Europę, przypatrz się pracom i zakładom tokar-

kim za granicą, a z nabytą nauką wracaj nam do kraju i bądź nauczycielem innych!

Tak też rzeczywiście było. Kazimierz tak był zręczny, tak przemyślny w rzemiośle, że wszyscy jego towarzysze, bez różnicy, przyznawali mu pierwszeństwo.

I nadszedł ten dzień dla Kazimierza pożalany a jednak bolesny, w którym został wywołony, i w którym miał Warszawę opuścić, by udać się w podróż za granicę.

Przyjechał Kazimierza ojciec Stefan do Warszawy, a pan Karol na pożegnanie wyprawił sutą ucztę, na którą oprócz Kazimierza i Stefana zaprosił: Piotra, starego garbarza, wszystkich towarzyszków Kazimierza, wreszcie kilku godnych majstrów tokarskich. Wszystkich blicza były rozradowane; stary garbarz sypał etkami Krakusów, pan Karol opowiadał Stefanowi o duchu nocnym, co to pracował w jego tokarni, i w ciągu rozmowy rozgadał się z nim przyszłości Kazimierza. Jako człowiek bywały, o to wiele krajów w swojej młodości widział, awał dobre rady, dokąd Kazimierz w swojej odróży ma się udać, i przyobiecał mu dać listy do ważniejszych miast i sławnych tokarni, odając:

— Nie daję mu tych listów, aby go zale-

A. P.

cić, bo sam się najlepiej zaleci, ale żeby prędzej się obznajmił w obczyźnie.

Takie i tym podobne toczyły się mowy pogadanki, aż nareszcie przyszedł czas rozstania się. Nie będziemy go tu opisywali. Każdy po swoje, z jak ciężkiem sercem żegnali Kazimierza jego towarzysze, tracąc w nim najlepszego przyjaciela, najszczerzego doradcę i najgorliwszego nauczyciela. Kazimierz ściskając ich ręce i mówiąc pożegnanie, tłumiąc łzy w oczach, te tylko wy rzekł słowa:

— Żal mi niezmiernie, że was opuszczam; lecz tem się przynajmniej pocieszam, że wy o mnie nie zapomnicie.

— Nigdy! — zawołali wszyscy.

— Więc pamiętajcie, — dodał Kazimierz — jakie wasze powołanie! Jesteście Polakami, starajcie się zawsze być godnymi tego imienia. To moją największą pociechą będzie w obczyźnie, jeśli się kiedy dowiem, że wy, moi bracia, nigdy nie zapomnieliście, kim jesteście.

I rozeszli się wszyscy.

Nazajutrz jeszcze odwiedził Kazimierz z ojcem poczciwych Stropskich. Stropscy znali już Stefana z opowiadań Kazimierza i starego garbarza, więc też przyjęło go jak starego znajomego. Bawili tam kilka godzin, a szczególnie

podobala się Stefanowi żywa i wesoła Zosia, uważał, że jest do jego Jadwisi bardzo podobną. Kazimierz wcale temu nie przeczył, i dopiero teraz zaczął pojmować, czemu to do niej tak się jakoś przywiązał. Była to już teraz dziewczynka czternastoletnia; żywy rumieniec zdobił jej lubą, okrągłą twarzyczkę. Ale dziś Zosia jakoś bardzo smutna i zamyślona. Siedząc obok Kazimierza wpatrywała się w jego oczy, i słuchała co on jej mówił o przyszłej swojej podróży

I westchnęło sobie dziewczę, i rzekło:

— Ach! panie Kazimierzu, to dalekie, obce kraje; pewnie tam o nas zapomnisz, i odwróciła się, bo łzy cisnęły się do jej oczu.

I Kazimierz rozrzewnił się i odpowiedział:

— O, nie zapomnę nigdy o was! Wszak mi tu u was było zawsze najmilej. Zosia zawsze przypominała mi moję siostrzyczkę, a wasz mały Jasio mego brata Tadeuszka. Tu u was jakby moja druga rodzina! Zawsze mi ona będzie stała przed oczyma.

Nareszcie trzeba było się rozstać. Po czułym pożegnaniu, z błogosławieństwem Stropskich, opuszczał właśnie Kazimierz ich dom, gdy w tem stary garbarz, który dotąd cicho przypatrywał

się temu co się działo, przystąpił do niego i rzekł:

— Do stu Krakusów, jedź chłopcze i p wracaj zdrów! Do stu Krakusów! A ocierając sobie oczy dodał! Tfu! patrzcie, ja stary, a jeszcze jakaś woda zbiera się w moich oczach. Tfu czy licho nadało z tym Kazimierzem. Szkradny chłopak... wstydziłbyś się, mnie starego przyprowadzać do tego, żebym się jak dzieciak rozbeczał, mnie, com już może z trzydzieści lat nie płakał. A niech cię Bóg prowadzi! Do stu Krakusów!

Nazajutrz gdy stary Stefan załatwiał jeszcze jakieś swoje sprawunki i kupna, Kazimierz udał się na pożegnanie do pana Andrzeja i jego syna, i do profesora Ignacego, na koniec do czczonego pana Józefa i innych znajomych i przyjaciół, których miał w Warszawie. Już dobre było po południu, kiedy nareszcie wyruszył z Warszawy.

Gdy tak jechali sobie gościńcem bitym i powoli mrok zapadał, ojciec opowiadał Kazimierzowi, o czem w Warszawie nie chciał i nie mógł czasu mu wspomnieć, że gospodarstwo jego w ostatnim czasie ucierpiało niemało; bo kilka krów na zarazę padło, kilka wołów także odszło, klacz najlepsza złamała nogę, i trzeba b

za bezcen jej się pozbyć, a natomiast inną kucę; zboże dla wielkości posuchy także nie bardzo dopisało. Ot, kończył Stefan, nie tak idzie, jakbym sobie życzył; lecz nie narzekać nam na to: Bóg to dopuścił. Jednak trochę majątku przydałoby się właśnie teraz więcej, niż przedtem: Jadwisia dorasta, Tadeusz potrzebuje także nauki, a i tobie, mój Kazimierzu, radbym też coś pomódz, kiedy tak blizkim jesteś swego ojcu.

— O mój ojczy! zawołał Kazimierz, popatrz na mnie; czyliż nie mam zdrowych rąk? Czyliż nie to dawałeś mię uczyć, abym cię ustawicznie w wydatki narażał, których teraz potrzebuje moje młodsze rodzeństwo? Nigdybym tego nie chciał, żebym teraz, kiedy sam na siebie mogę pracować, brał jeszcze od ciebie. I zaraz nawet przekonam cię, drogi ojczy, że umiem nie tylko gospodarzyć. To mówiąc wyjął Kazimierz portfel i pokazał ojcu: a było w nim kilkanaście dukatów i pieniędzy srebrnych, i parę banknotów czyli pieniędzy papierowych.

— Oto, mówił dalej, com sobie uszczędził z tego coś ty mi, ojczy łaskawy, dosyłał, i z pracy swej własnej. Czyż mi teraz jeszcze więcej wymagać od ciebie? Inni i tyle nie mają, a od-

bywają podróże; ja o moim groszku puszcze się w drogę.

Stefan nie wiele mu na to odpowiedział, ścisnął rękę Kazimierza i rzekł wzruszonym głosem:

— Dobrym jesteś synem Kazimierzowi i dobrym bratem. Bóg ci to wynagrodzi.

Wśród takiej rozmowy zbliżali się nasi do celu swej podróży już późnym wieczorem. Już widzi Kazimierz światełka migocące się w miasteczku, już rozpoznaje przy blasku księżyca białą wieżyczkę kościołka. Wisła wspaniała jak zawsze z cichym szmerem toczy swe fale. Gdy się już zbliżają do figury świętego Antoniego, bystre oko Kazimierza spostrzega kilka postaci ludzkich pod figurą poruszających się; natęży wzrok.... i nagle woła:

— Ach to matka! i skacze z wozu, i już leży w objęciach matki.

Prócz matki była tam Jadwisia i Tadeusz, którzy przecuciem wiedzeni, wyszli byli naprzeciw Kazimierzowi; i wszyscy z największą radością witali go i ściskali.

Po pierwszych czułych i radosnych powitaniach wszyscy powsiadali do wózka, i ruszyli ku miastu i ku domowi.

W kilka dni później rodzice z księdzem

robośzczem uradzili, aby Kazimierza dla wyhnienia i wzajemnej uciechy z miesiąc jeszcze utrzymać w domu, a potem, jak było postanowiono, wyprowadzić w podróż.

A nie miała to być podróż dla zabawy i rozrywki, ale dla nabycia nauki i doświadczenia; nie miała służyć ku pożytkowi samego tylko Kazimierza, a miała być podjętą także dla tego, aby Kazimierz nabytem w niej doświadczeniem powrotem do Ojczyzny mógł całemu służyć krajowi.

Podróż taka nie całkiem była bezpieczną dla tak młodego człowieka jak Kazimierz, który ledwie dwudziesty rok życia ukończył. Nie była ona niebezpieczną dla jego życia, bo przecież nie mieszkamy w krajach dzikich; ale niebezpieczną była z powodu pokus do złego, na jakie w obcych krajach zwykle każdy z naszych młodych ludzi jest wystawiony. Potrzeba już wielkiego hartu duszy, zamięłowania swojej ojczyzny i wszystkiego co ojczyste, a szczególnie mocnego ugruntowania w wierze świętej, żeby nie dać się uwieść złudnym pozorom, jakimi świat zagraniczny zepsucie swe pokrywać umie, i liżnym korzyściom, jakimi do złego stara się uchęcać. Znali wprowadzić rodzice dobrze Kazimierza, tuszyli sobie, że zasady, jakie oni w je-

go serce wpajali, i jakie sam w sobie wyrobił, uchronią go od wszelkich zdrożności, i że pozostanie także zawsze wiernym Ojczyzny synem. Ale jakto zawsze bywa, im człowiek kogo więcej kocha, tem więcej o niego się lęka, chociaż mało jest powodu do obawy. Tak też było z rodzicami Kazimierza; przy każdej sposobności dawali mu przestrogi i nauki: matka ze swojej strony, ojciec ze swojej, a Kazimierz brał je sobie głęboko do serca, wiedząc że pochodziły z szczerzej rodziców miłości ku niemu, i że tylko dobro i szczęście jego miały na celu.

Tak upływały dni przeplatane naprzemian to radością, że Kazimierz jeszcze zostawał w domu; to smutkiem, że z każdym dniem zbliżała się chwila, w której miał rodzinę i Ojczyznę na długo opuścić. Matka biedna nie sprzeciwiała się temu, wiedząc, że to wszystko potrzeba było dla jego dobra; w ukryciu tylko, kiedy jej nikt nie widział klękała przed obrazem świętym i ze łzami modliła się o szczęście dla kochanego Kazimierza.

I ojciec Stefan zmienił się trochę. Troski i dotkliwie straty pobielily jego włos, a blizkie oddalenie się syna, w którym wszelką nadzieję pokładał, uczynilo go jeszcze poważniejszym. Czasem, gdy wracał od pracy z pola ze skwaru sło-

necznego, oblany potem, mógłbyś dostrzedz, jak siadłszy w kącie swego pokoiku, rzewnie spoglądał na syna, nic nie mówiąc. Czasem wstał, postąpił do niego, ścisnął go za głowę, i długo całował; a potem był weselszy, rozmowniejszy, i dodawał wszystkim otuchy.

Ale czas nieubłagany toczy się, nie zważa na smutek ni na radość; niezmiennym a koniecznym posuwa się krokiem. Było to ku końcowi Maja, gdy nadszedł dzień wyjazdu. Kazimierz starym zwyczajem miał puścić się w drogę pieszo, z tłumoczkim na plecach, z laską w rękę, z Bogiem w sercu, z woreczkiem ziemi ojczystej na piersiach. Z rana poszedł do kościołka, służył księdzu Wojciechowi do mszy świętej, i gorące modły słał do Boga, prosząc Go o łaskę dla siebie.

Ach! ciężki i najcięższy był to dzień dla całego domu! Matka już nie płakała, tylko spoglądając na obraz Matki Bożej, zasyłała westchnienia błagalne do tej Pocieszycielki trapiionych, i ciche przed nią szeptała modlitwy za pomyślność syna układając jeszcze ostatki odzieży i bielizny w tłumoczek razem z Jadwisią i Tadeuszkiem.

Kazimierz powróciwszy z kościoła i prędko i zwawo przygotował co było potrzeba do po-

dróży, a potem na skinienie ojca wyszedł do ogrodu. Tu stanąwszy w swojej cienistej altanie pod lipami, zawołał w uniesieniu:

— Ach, ojcie! jakże tu dobrze, jak tu miło!

— Dobrze tu i miło, odrzekł ojciec, bo to dom twój, bo to Ojczyzna twoja! Niema jak domu! Rad jestem bardzo, kochany Kazimierzu, żeś tak umiłował swój dom i ziemię ojczystą. Miłość ta każdemu z nas od Boga samego jest dana a co od Boga dane, to jest świętym, bo trzeba święcie zachowywać, i do śmierci pielęgnować.

— Czybyś mógł wątpić ojcie, — rzekł na to Kazimierz, — że kocham Ojczyznę?

— Nigdy nie wątpiłem, i teraz nie wątpię, odrzekł ojciec. Pierwej, kiedyś był młodszym, nie mówiłem ci o tem, lecz teraz kiedyś prawie już wyrósł na mężczyznę, przyznam ci się, że cię bardzo kocham za to, żeś tak dobrym synem, i że dobrem sprawowaniem swoim tyleś nam dotąd sprawiał pociechy. Lecz teraz pójdziesz w świat, w świat zupełnie nowy, obcy i nie znany; ten ma tysiące a tysiące środków, aby najlepszego chłopca zepsuć i zgubić, i dla tego bardzo się lękam o ciebie.

— Mnie już nikt nie przemieni — z pewną dumą odrzekł Kazimierz.

— Spodziewam się po tobie, — rzekł znów ojciec. — Wiesz, czego my po tobie wymagamy, wiesz, czego Ojczyzna ma prawo spodziewać się po tobie. Z naszej opieki prawie już wychodzisz, lecz z opieki Ojczyzny nigdy nie wyjdiesz; nawet po śmierci ta ziemia, jeżeli Bóg dozwoli, będzie przechowywała i twoje kości! Za tę nieustającą opiekę żąda ona od nas.... mało, o bardzo mało! żąda tylko tego, co nam Bóg i tak już był wlał w serca nasze, żąda miłości. Tę miłość każdy powinien okazywać zachowywaniem ojczystych obyczajów, pielęgnowaniem ojczystego języka, trzymaniem się świętej naszej wiary polskiej, katolickiej. Kto tego nie czyni, kto przeciwnie sobie postępuje, jest wrogiem Ojczyzny! Patrz mój synu na tę kresę; jest ona dla mnie chlubą, bo otrzymana w obrobie obyczajów, mowy i religii naszych praojców. Patrz na tę lipę; widzisz tę dziurę, w której kula ugrzęzła; była to kula najeźdźnika, którego powalił jeden z przodków twoich, Bartłomiej. A tam widzisz ten płyt kamienny, tam ziemia nasza, którą on najechał, przyjęła jego kości! Pamiętaj sobie dobrze naszą pogadankę tego wieczora. Jesliby tobą kiedy świat zachwiał,

wspomnij sobie na tę bliznę mojego oblicza, wspomnij na tę lipę starą, prze-dziurawioną kulą najezdnika i ten grób kryjący jego zwłoki, a wspomnienia te zachowają cię od upadku! A teraz chodź, niech cię pobłogosławię!

Kazimierz ukląkł: Ojciec zdjął czapkę, długie siwe włosy spadały mu na barki, promień słońca, przedarłszy się przez gęste liście sędziwych lip, oświecił blade, natchnione jego oblicze. I złożył na krzyż ręce nad synem, i wzniosł oczy ku niebu, i szeptał cichą modlitwę, ścisnął syna za głowę, podniósł go, ucałował w twarz i rzekł:

— Błogosławię cię, mój synu, w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego Amen. A teraz chodźmy, bo słyszę w domu obce głosy, pewnie przyszli znajomi.

I weszli do domu. Rzeczywiście zastali tam księdza Wojciecha i nauczyciela, którzy przybyli pożegnać i odprowadzić w drogę ulubieńca swego Kazimierza, którego kochali jak syna.

Ksiądz Wojciech, od czasu, jak po pierwszy raz się z nim poznaliśmy w imieniny ojca Stefana, znacznie się był zestarzał, a włos jego wówczas siwiejący, zbieleł zupełnie jak śnieg, co jeszcze więcej mu nadawało powagi i tym wię-

kszy dla niego budziło szacunek. Ale mimo sędziwą starość, zachowywał zawsze dawną swą wesołość; jak dawniej tak i teraz umiał trafić wszędzie, gdzie był smutek i płacz a gdzie się pojawił, to jeśli nie rozśmieszył, to pewno pocieszył. Był to anioł pocieszyciel wszystkich nieszczęśliwych; to też z największą czcią i radością wszędzie go przyjmowano, i za największe szczęście sobie poczytywano, gdzie próg domu przestąpił!

Wszedłszy tedy do izby, a widząc zapłakane oczy matki i Jadwisi, zawołał pocieszając je:

— Ej! po co to matko te smutki i płacze? Wyprawiliśmy Kazimierza parę lat temu do Warszawy znacznie młodszego, i jakoś nam nie lży powrócił. Teraz starszego wyprawiamy, zaręczam wam, że jeszcze lepszy powróci; a ja zawsze mam w Bogu nadzieję, że chociaż drżą mi już ręce ze starości, doczekam się jeszcze tej pociechy, że za waszem błogosławieństwem, będę mu dawał ślub w naszym kościółku. A zwracając się potem do Kazimierza, dodał:

— No Kazimierzu, bierz tłończonek na plecy, łaskę w rękę i chodźmy, bo im dłuższe pożegnanie, tem trudniejsze rozstanie, a co się stać musi niech się stanie prędko! Pani Stefanowa! ja z wami pójdę, chodźmy!

Zabrali się tedy wszyscy milcząc; Kazimierz obejrzał raz jeszcze drogie ściany i sprzęty domu rodzinnego, pożegnał płaczącą za nim cze-ladkę, i wszyscy wyszli na ulicę.

A było to już blisko południa. Słońce wspaniale toczyło się po niebiesiech, majowa trawka rozwijała miłą woń po całej okolicy, Wisła cicha drugie słońce i drugie niebo w sobie odbijała, kwiaty na łąkach w ciemnawej barwie kołysały główki, jakby żegnały odchodzącego Kazimierza.

I tak szli wszyscy milcząc obok siebie, a nawet ksiądz Wojciech, który w podobnych chwilach umiał rozweselić i pocieszyć, nie bardzo teraz wyglądał wesoło, i nie śmiał przerywać milczenia. Gdy minęli figurę, i przyszedli na zakręt drogi, rzekł ksiądz Wojciech do Kazimierza:

— Nam czas wracać; niech cię Pan Bóg dalej prowadzi! Idź z Bogiem, a wracaj nam zdrów do zagrody ojczystej! — uścisnął i pożegnał go.

Kazimierz rzucił się potem do nóg rodzicom, oblał je łzami, ucałował im ręce, uścisnął rodzinę, przeżegnał się, i puścił się w drogę. Rodzice dawszy mu jeszcze krzyżyk na drogę, postali chwilę patrząc za nim, jeszcze raz z dala

zawołali za nim, życząc mu szczęśliwej podróży i nawrócili ku domowi.

Kazimierz szedł prędko, jakby się obawiał, żeby go co nie wstrzymało w biegu i nie cofnęło do domu. W tej chwili słońce wynurzywszy się z po za chmurki, całym blaskiem oświeciło rodzinne jego miasteczko; na górze błyszczał świecący dach kościółka i bielila się jego wieżyczka ze znakiem Zbawiciela. I patrzył Kazimierz długo wytężonem okiem, rozłożył ręce, jakby chciał objąć w uścisku swój dom i mieścinę rodzinną i zawołał:

— O Boże mój! Czyż ujrzę jeszcze kiedy to gniazdo moje rodzinne!?

W tem rozległ się dźwięk dzwonu z kościółka; głos jego roztaczał się po błoniach, płynął po falach Wisły, leciał ku Niebu.


Było to na „Anioł Pański”.

Padł Kazimierz na kolana i szczerze, gorąco pomodlił się do Panny Najświętszej, a po krzepiony na duchu i spokojniejszy ruszył w dalszą drogę.

Właśnie w tej chwili i rodzice jego przechodzili koło figury św. Antoniego; dźwięk dzwonu doleciał ich uszu, a ksiądz Wojciech rzekł:

— Dobry to znowu znak, że modlitwa spo-

tyka nas i jego w drodze. — I zaczął głośno „Anioł Pański”, a całe towarzystwo za nim się modliło.



XI.

Podróż.

Z domu puścił się Kazimierz do Krakowa, gdzie kilka dni się zatrzymał, aby zwiedzić liczne pamiątki tu nagromadzone. Bo też zaiste, jeśli gdzie to w Krakowie największa obfitość najrozmaitszych pamiątek z dawnych polskich lepszych czasów. Warszawa wprawdzie największem jest i najpiękniejszym miastem całej Polski, ale za to Kraków najpoważniejszym i największym. Gdzie się obrócisz, oko twoje spoka się z jaką dawną pamiątką, która ci przypomni świetny jaki wypadek, albo sławnego naszego rycerza.

Tuż nad samą Wisłą wznosi się góra Wawel, w której to, jak wam pewnie wiadomo, miał mieszkać ogromny a żarłoczny smok, co go to wielki Krakus podstępem zabił, i tem na wieki i imię swoje wślawił. Na tej górze Wawelu

wznosi się wielki, obszerny i wspaniały niegdyś zamek dawnych królów Polskich, — dziś niestety, odarty ze swych ozdób, i zamieniony na kośzarę dla wojska i na więzienia zbrodniarzy. Gorzkiemi łzami zalał się biedny Kazimierz, patrząc na tę smutną przemianę dawnej wspaniałości polskiej!

Z zamkiem królewskim styka się katedra, w której znajdują się grobowce i pomniki wszystkich prawie królów i wielu bohaterów polskich, bo nim królowie stolicę swą przenieśli do Warszawy, rezydowali zawsze w Krakowie, i tu też w najbliższej zamku katedrze kości swe składali na wieczny odpoczynek. Do największych osobliwości tego kościoła należy kaplica Świętego Stanisława, wznosząca się w samym środku, w której złożone jest ciało tegoż Świętego Patrona królestwa Polskiego w srebrnej trumnie. Przy tej kaplicy zatknięta była chorągiew przez Jana Sobieskiego pod Wiedniem na Turków zdobyta: świadectwo dawnej chwały oręża Polskiego. W wieży tegoż kościoła zawieszony jest dzwon, któremu na imię Zygmunt od tego, że król Zygmunt Pierwszy, król Polski, kazał głuścić, a już to temu więcej niż trzysta lat. Jest to dzwon największy na całą Polskę, a tak ogromny, że go wcale ruszyć nie można, tylko

za serce kilku ludzi linami ciągnie i tak dzwoni. A głos jego taki potężny, że aż ziemia drży i na kilka mil w koło dosłyszeć go można, a taki poważny i miły przytem, że jak w niego zadzwonią, to aż serca wszystkich poruszy i zdaje się jakoby sam Pan Bóg z nieba ludzi do modlitwy wzywał. Ale też tylko w większe święta i uroczystości w niego się dzwoni.

Idąc od zamku wciąż brzegiem Wisły, przychodzi się do kościoła Świętego Stanisława na Skałce. W tem samem miejscu, gdzie stoi ten kościół, była dawnemi czasy kaplica Świętego Michała, słynna w całej Polsce z tego, że tu właśnie król Bolesław Śmiały bezbożną ręką zamordował przy ołtarzu świętego Biskupa Stanisława Szczepanowskiego za to, że się ujmował za uciśnionym ludem i napędzał króla do pokuty i poprawy.

Ze Skałki znów widać dobrze jak na dłoni wysoką niby górę jaką, mogiłę Kościuszki, ostatni obrońca niepodległej Polski przeciw najeźdźcom, umarł na wygnaniu w obcej ziemi, ziomkowie jego chcąc przynajmniej po śmierci złożyć jego zwłoki na ziemi ojczystej, sprowadzili je z zagranicy, zwieźli do Krakowa i pochowali w Katedrze obok swoich królów. Ale serce jego, które tak żywo zawsze biło dla ojczyzny

i wiary świętej, wyjęto i postanowiono osobno uczcić taką mogiłą, jakiej jeszcze nikomu na świecie nie usypano. I oto co tylko żyło a czuło w sobie krew Polską, wzięło się do sypania tej mogiły. Panowie z całego kraju przybyli, znosili ziemię w czapkach i kapeluszach, panie w chustkach i fartuszkach, wieśniacy w połach od sukmany, inni w koszach nosili, inni taczkowali, — i tak usypali ogromną mogiłę, jakby górę jaką, która na wieczne czasy będzie pamiątką, jak to Polacy umieją uczcić tych, co się poświęcają za ojczyznę.

Niedaleko ztamtąd widać inną mogiłę, — jest to mogiła Wandy, tej samej Wandy księżniczki Polskiej, której imię w całej Polsce słynie z tego, że woląa skoczyć w Wisłę i utopić się, niż pójść za Niemca, który gwałtem o rękę jej się starał.

Ale pożegnajmy teraz na chwilę uroczą okolicę Krakowa z jej mogiłami i pamiątkami, a wróćmy do samego miasta, gdzie nasz Kazimierz jeszcze wiele rzeczy miał do oglądania. Tu ściągnęły na siebie jego uwagę najprzód poważne mury Akademii Krakowskiej, nazywanej zwyczajnie Akademią Jagiellońską, co tylu sławnych i uczonych Polsce wychowała ludzi! A nazywa się Jagiellońską od tego, że ją ufundował

złoty król Jagiełło na prośbę swej żony, królowej Jadwigi, której imię do dziś dnia jeszcze mały naród Polski uwielbia dla jej dobroci i mądrości.

A co za kościoły piękne i wspaniałe podziwiał Kazimierz! a takie ich mnóstwo, że jak z daleka patrzył na Kraków, i widział te setki wieżyc sterczących ku Niebu, to mu się zdawało, jakby w Krakowie nie było domów, ale same tylko kościoły. Tacy to pobożni byli nasi przodkowie, tak to dbali o chwałę Bożą!

I wszystkie te pamiątki, te kościoły, te zamki, tę akademię, te mogiły, te grobowce chciwie oglądał Kazimierz, a patrząc na te ślady dawnej wielkości naszej Polski, nieraz głęboko sobie westchnął i zapłakał: bo trudno wstrzymać się od łez, kiedy człowiek patrzy na to, czem była dawniej kochana nasza ziemia, a czem jest dziś!

Zwiedziwszy tak wszystko, co tylko zwiedzić się dało, z ciężkiem sercem pożegnał tę sławną stolicę Polski, która dziś wygląda raczej na wielki grobowiec Polski; a tym ciężiej i żałośniej mu było na sercu, że wkrótce miał wstać na obcą ziemię i rozstać się na Bóg wie jak długi czas z tą ziemią ojczyzną, której do tychczas nigdy jeszcze nie był opuszczał. Otóż

te Karpaty, których sine szczyty już z mogiły Kościuszki mógł był widzieć, to ostatnia granica Polski, — tam za niemi już obca mowa, obce obyczaje, obcy ludzie!

Smutny więc szedł coraz dalej, a oddalając się od Krakowa, na każdym prawie wzgórzu, które przebywał, stawał i oglądał się, przypatrując się jego wieżom, które daleko, daleko jeszcze było widać.

Staął wreszcie u granicy, — było to na szczycie dosyć wysokiej góry w Karpatach. Tu po jednej stronie rozciąga się przed jego oczyma ziemia polska z swemi wioskami, dworkami, zamkami, z wszystkim co dla serca jego drogim i świętem, — a po drugiej stronie widzi już ziemię obcą, węgierską, która przecież nieraz z Polską wspólnych miewała królów.

Tu więc gdy stanął na granicy, tak mu żał serce ścisnął, jak gdyby z rodzoną matką miał się żegnać; — chciał iść dalej, ale jakaś siła nadzwyczajna jakby go do miejsca przykuła, że nie mógł i kroku dalej ruszyć, — aż nareszcie upadł jak długi na ziemię, ucałował ją z rozrzwinięciem, łzami ją swemi zrosił, — a podniósłszy się prędko, zawołał:

— Trudno — kiedy tak być musi, niech się dzieje święta wola Boża! Opuściłem ojca

matkę, porzucę teraz i ciebie, droga Ojczyzno! — Daj Boże, abym do niej znów szczęśliwie powrócił! — a przeżegnawszy się w imię Ojca Syna i Ducha Świętego, przebył granicę, i już dążył bez wytchnienia ku swemu najbliższemu celowi, ku Wiedniowi.

Po kilkodniowej szczęśliwej podróży stanął nad szeroką i bystrą rzeką Dunajem u bram Wiednia. Wiedeń, to bardzo wielkie miasto, kilka razy większe nawet od samej Warszawy, jest to stolica cesarza austriackiego.

— Ale — pomyślał sobie Kazimierz wchodząc do Wiednia, gdyby nie nasz król Jan Sobieski i dzielne polskie rycerstwo, toby pewnie nie cesarz austriacki, ale sułtan turecki dziś w Wiedniu panował.

I prawdę miał Kazimierz, bo już temu przeszło dwieście lat, jak cesarz turecki, czyli jak go u nas Turcy nazywają, sułtan, z niezliczonym wojskiem podszedł pod Wiedeń, aby zdobyć to miasto, a potem wiarę chrześcijańską wytępić, a swoją mahometańską, pogańską religię wszystkim narodom narzucić. Niemcy jak mogli tak się bronili, ale nie mogli opierać się długo przemocy i każdej chwili lękać się należało, że Turcy miasto zdobędą; cesarz nawet już schronił się gdzieindziej daleko od Wiednia aby w nie-

bezpieczeństwie cesarz i Ojciec święty razem wyprowadzili posłów do króla polskiego Jana, aby ratował cesarza i wiarę świętą. Jan Sobieski, choć już nie młody i ciężki, zaraz dosiadł konia, zwołał rycerstwo i niezwłocznie wyruszył ku Wiedniowi. Turcy, którym Sobieski już nieraz tego się dał we znaki, zadrżeli ze strachu, jak się dowiedzieli, że król Polski idzie na nich, i nie napróżno drżeli. Bo Sobieski jak na nich uderzył z swoim rycerstwem, to od razu rozbił ich cały obóz, wiele tysięcy trupem położył, resztę rozproszył, i tak Wiedeń i chrześcijaństwo ocalił. — Jedną z chorągwi zdobytych tu na Turkach, właśnie parę dni temu Kazimierz oglądał w Krakowie, przy grobie Świętego Stanisława na Wawelu.

Więc to do tego samego Wiednia teraz przybył nasz Kazimierz, — a ponieważ przybył nie dla zabawy, ale dla pracy i nauki, więc wypytał się tam zaraz o najslawniejszego tokarza i najął się u niego za czeladnika.

— A co go w tem niemieckiem mieście najbardziej ucieszyło, i jego tęsknotę za ojczyzną zmniejszyło, to że wiele tam znalazł rodaków, i z nimi się zaprzyjaźnił. Uczęszczał też zwykle do kościoła Świętego Ruprechta na nabożeństwo. Mała to i niepokazna budowa, ale bywały tam

żazania polskie, nieszpory polskie z polskim śpiewem, co mu miłą ojczyznę przypominało.

Przy końcu szóstego miesiąca pobytu swego w Wiedniu, dostał Kazimierz list z domu, z którego się dowiedział, że matka jego była mocno chorą, ale że już wyzdrowiała. Do listu ojca był dołączony bilecik od księdza Wojciecha, w którym go tenże uwiadomiał, że z powodu choroby matki gospodarstwo mocno podupadło, że czasem dawał się uczuć rodzicom jego nawet niedostatek. Na tę wiadomość zadrżał Kazimierz. Rodzice na niego łożyli, od ust scbie ujmowali, dla niego dawali, a teraz przez dopuszczenie Bozkie mieliby cierpieć niedostatek może najpotrzebniejszych rzeczy! Bez namysłu więc siadł, napisał list jeden do rodziców, drugi do księdza Wojciecha z prośbą: by pieniądze w liście załączone sposobem delikatnym oddał rodzicom. Posłał on cały swój półroczny zarobek, co wynosiło do stu kilkunastu reńskich. Tyle sobie przez tak krótki czas był oszczędził; bo też robotnika jak on dobrze płacono, a Kazimierz nie wydawał pieniędzy, chyba tylko na rzeczy najpotrzebniejsze.

Wkrótce potem udał się Kazimierz w dalszą podróż. Opuściwszy Wiedeń przebiegł Niemcy południowe, dostał się potem do Francyi,

a zatrzymując się w niektórych tylko miastach znaczniejszych po kilka tygodni, z końcem roku przybył nareszcie do Paryża, pewno najpiękniejszego miasta w świecie.

I uradowało go nie mało, że tu znalazł tak wielu Polaków, starych i młodych, i panów i biednych, i uczonych. Byli to wszystko emigranci, to jest ziomkowie nasi, którzy za to, że kochali ojczyznę, albo bili się za jej wolność, musieli z kraju uchodzić. A jak to bywa, że rodak z rodakiem na ziemi obcej najprędzej znajomość zabiera, tak też i Kazimierz z wielu Polakami w Paryżu ściśłą zawiązał znajomość. Poznał on ich dolą, ich myśli, ich gorące życzenia; poznał na nich co za boleść być ciągle w obczyźnie, kiedy dusza i serce rwą się do ojczyzny.

Tu w Paryżu zabawiwszy rok cały wiele skorzystał i dosyć sobie pieniędzy oszczędził. Tych jednak sam nie używał, lecz odsyłał je rodzicom, bo ciągle dochodziły go wiadomości, że choroby uszczupliły ich dostatek, i że jakoś źle się wiodło pocziwemu Stefanowi.

Potem udał się do Londynu. Olbrzymie to miasto, bo jeszcze większe od Paryża, silne na Kazimierzu zrobiło wrażenie. Ogromne pracownie i warsztaty tokarskie, ruch handlowy, przemysłowy i kupiecki wiele mu podawały

posobności do z bogacenia wiedzy, do praktykowania różnych sposobów i fortelów w sztuce, do wyuczenia się dokładnego rachunków i korespondencyi handlowej. Płaca jego, nierównie lepsza nawet niż w Paryżu, dozwalała mu dożyć uzbierać pieniędzy. Chował grosz zapracowany, a skoro go przyszło wydawać nawet na najpotrzebniejsze rzeczy, długo się namyslał, nim go wydał. Lecz czemu tak oszczędnie z groszem się obchodził? Oto żeby dopomagać swoim ukochanym rodzicom. Donieśli mu byli oni że są zdrowi, i że się cieszą z dobrego jego powodzenia, ale ksiądz Wojciech ze swej strony osobno mu napisał, że tego roku grad wielką szkodę zrządził na zagonach Stefana.

Pomyślał sobie Kazimierz: biedni rodzice, nie chcieli mnie zasmucić tem doniesieniem.

I posłał im znowu dość znaczną kwotę pieniężną.

I tu w Londynie z niemałym zadowoleniem Kazimierz wielu zastał rodaków, różnego stanu i różnego zatrudnienia. Byli to także emigranci, którzy również jak Paryżycy przechowywali w swoich sercach gorącą miłość Ojczyzny, jak tamci równie do niej nieustannie tęsknili.

Przebywszy w Londynie prawie dwa lata nabywszy dostatecznej wprawy i doświadcze-

nia, postanowił Kazimierz wracać do Ojczyzny i tylko jeszcze w Berlinie się zatrzymać. Tu bowiem chciał wejść w związki ze znaczniejszemi tokarniami, składami i pracowniami, aby później, skoro za pomocą Bozką wróciwszy do Ojczyzny sam na swą rękę rozpocznie pracować, miał już potrzebne znajomości handlowe. Pożegnawszy więc rodaków w Londynie, przeprawiwszy się przez morze, bez zatrzymywania się przejechał przez Belgią i północne Niemcy, aż stanął z początkiem jesieni w Berlinie.

XII.

Berlin.

Tu natychmiast wstąpił do jednej z największych pracowni tokarskich, mającej bardzo ozległe stósunki z innemi głównemi miastami Europy. Pan Sztolce, pryncypał Kazimierza, był to człowiek w swoim zawodzie bardzo biegły, bardzo ścisły i akuratny w prowadzeniu swego zakładu tokarskiego, przy którym było zatrudnionych kilkudziesięciu robotników, i znajdował się osobny handlowy kantor; zresztą był pan Sztolce rzetelnym i sumiennym, a miał dławę bogatego człowieka. Od rana do wieczora pełno go było wszędzie, to w tokarni, to w składzie, to w kantorze. On i jego cała rodzina, jak większa część mieszkańców Berlina, byli religii luterskiej. Rodzina ta składała się z żony i córki Wilhelminy, jedynaczki, panny siemnastoletniej.

W pierwszych zaraz dniach swojego pobytu u pana Sztolcego spostrzegł Kazimierz, iż pryncypał na niego ustawicznie uważał. Trwało to tydzień jeden, drugi i trzeci, aż się przykrzyć zaczynało Kazimierzowi to ustawiczne powiedzieć można szpiegowanie. I zapytał się towarzyszów co to ma znaczyć? Ci mu na to odpowiedzieli, że ich pryncypał z każdym nowo przybyłym tak postępuje, chcąc i jego zręczność i rzetelność wypróbować!

Mniej trochę niemiłem, wszelako zadziwiającem było dla Kazimierza to, że nawet gospodyni domu i jej córeczka prześladowały go ustawicznie swemi oczami i rozmową. Pani Sztolcewa, kobieta w średnim wieku, dobrej tuszy, utrzymująca w domu porządek posunięty aż do przesady, mimo stan majątny tak oszczędna, że chowała wszystkie szczątki każdego obiadu, i liczyła zawsze kawałeczki cukru do cukierniczki włożone, odsiadująca każde nieomal poobiedzie na jakim koncercie przy wielkim dzbanku ciekawej kawy i pończosze, miała serce dobre, uprzejmą była bardzo, a jeszcze bardziej ciekawą i rozmowną. Jej córeczka nie odrodziła się od matki, a jeżeli jej jeszcze nie dorównywała w gospodarności, to pewno dzięki młodemu wiekowi w ciekawości ją przesadzała.

A przedmiot jej ciekawości był zaiste wart tego, żeby się nim zajmować. Dużo wprawdzie cudzoziemców bywało w domu pana Sztolcego; bo i lekkomyślni Francuzi, nad którymi pani domu ubolewała, iż tak prosto biegną w paszczę szatana, i z którymi dla tego wszelkiego unikała towarzystwa; bywali Anglicy zimni, dumni, nieludczy, — spotykałeś tam i synów rozmaitych niemieckich plemion; ale syna owego kraju, który według wyobrażeń pani Sztolcowej i jej córki zamieszkały był przez samych wilków i dzikich barbarzyńców, a którego obywatele natomiast słynęli w świecie z wojen Napoleońskich i świeżej bohaterskiej walki powstańczej roku trzydziestego pierwszego, — słowem Polaka jeszcze nie było w domu Pana Sztolcego.

Tem miłsze było kobiet zdziwienie, gdy w naszym Kazimierzu, pierwszym Polaku, który wstąpił do ich domu, znalazły młodzieńca dorodnej postawy, czarnego oka, rumianego lica, w malowniczym stroju, posiadającego ułożenie przyzwoite, wiadomości niemal nad stan, a do tego biegłego w języku francuzkim i angielskim. Ciekawość ich przeszła niezadługo we współczucie, mianowicie gdy panna Wilhelmina usłyszała, że pan Kazimierz znał wielu a nawet lubił niektórych poetów niemieckich. Ale jakby

w ogniu zawsze stawał cały, ilekroć mu przychodziło wspominać w obec niej o naszym Mickiewicz, Krasińskim, Zaleńskim i innych znakomitych pisarzach będących chlubą narodu polskiego. Im panie dla niego stawały się przychylniejszemi, tym przykrzej było Kazimierzowi że ciągle trzymanym był pod więcej niż policyjnym dozorem pana Sztolcego.

Taki stan trwał pół roku, dla Kazimierza prawie już nieznośny. Aż tu raz jednego zawołał go pan Sztolce do swego kantoru i rzekł:

— Panie Berdysz! uważałem twoją pracę i rzetelność; podobają mi się; jesteś zręczny i sumienny; robię ci więc propozycją, abys przyjął kierownictwo mego całego zakładu, bo ja chciałbym się trochę uwolnić od ciężkiej pracy: naznaczam ci za to płacę pięciuset talarów. Czy zgoda?

Kazimierz namyśliwszy się chwilę, czy może sumiennie przyjąć na siebie taką odpowiedzialność, zgodził się chętnie, tem bardziej, że stanęli mu przed oczami rodzice, którymby od rąk mógł lepiej dopomagać.

Naraz więc zmieniło się położenie Kazimierza. Był on teraz właściwą duszą całego zakładu, a posiadając potrzebne do tego wiadomości i będąc rzetelnym, wkrótce pozyskał nieograni-

czone zaufanie swego pryncypała. Ten czasa-
mi już tylko zazierał do sklepu, przepatrzył ra-
chunki, obliczył przychód i rozchód, a potem
uśmiechał się regularnie, i klepiąc Kazimierza
po plecach, powtarzał:

— Dobrze, panie Berdysz, dobrze! —

Skoro nadszedł nowy rok, pan Sztolce wrę-
czył mu w darze sto talarów i dodał:

— Wiesz pan co, pan za daleko mieszkaś
odemnie, gdzieś tam koło św. Jadwigi, ^{tu kościół} w mo-
jem pomieszkaniu będzie dosyć miejsca i dla
pana; wprowadź się więc do mnie, będzie i pa-
nu i nam wygodniej. Kazałem już pokój dla
pana wyporządzić.

Nie było to zupełnie do smaku naszemu
Kazimierzowi, ale wiedział, że odmowa wtej
chwili, gdzie pan Sztolce myślał, że mu wielkie
wyświadcza dobrodziejstwo, byłaby dla niego
przykrą, a może i obrazą; więc po kilku dniach
zajął Kazimierz nowe pomieszkanie, i sam wnet
zauważył, że mu tak daleko wygodniej mieszkać
w zakładzie, bo miał i dokładniejszy przegląd
ściślejszy nadzór robót. A wybrał on był so-
bie zaraz z początku mieszkanie koło kościoła
świętej Jadwigi najprzód dla tego, że to był ko-
ściół jedyny katolicki w Berlinie i w nim Ka-
zimierz mógł codziennie Mszy świętej słuchać,

jak niegdyś w Warszawie, a potem i dla tego, że przy parafii był jeden ksiądz Polak. Z tym godnym kapłanem, chociaż o wiele starszym od siebie, zawarł Kazimierz ścisłą znajomość, w nim pokładał wielkie zaufanie.

Tak, ilekroć smutną dostawał z domu wiadomość, że rodzice coraz to więcej na majątku podupadają, udawał się zaraz do ks. Marka, a ten ile możliwości pokrzepiał jego ducha, dodawał mu ufności i sił do pracy. On to także poradził mu, ażeby mieszkanie przez pryncypała ofiarowane przyjął, bo tym sposobem będzie mógł sobie więcej oszczędzić i dla pomocy rodzicom odkładać.

W nowem swem mieszkaniu urządził się Kazimierz bardzo skromnie; za całe sprzęty miał łóżko, stolik, kanapkę i kilka krzeseł. Ale za to nad łóżkiem jego wisiał śliczny obraz Bogarodzicy, uwieńczony sztucznymi kwiatami; prócz tego zdobiły jego pokój wizerunki króla Jana III, Kościuszki, Poniatowskiego, Skrzyneckiego, w szafce zaś za szkłem widzieć można było zbiór książek, a najwięcej polskich, na stole krucyfiks, książeczkę do nabożeństwa i kantyczki.

Było to właśnie około Bożego Narodzenia. Wracając więc po całodziennej pracy wieczorem

do swego pokoju, siadał sobie Kazimierz na kanapie, brał kantyczki do rąk, i nucił te prawdziwe narodowe, a przytem tak głęboko religijne śpiewy; przypominał sobie lube czasy w Ojczyźnie, kiedy to razem z rodzicami tak wyśpiewywał te piosenki.

W dwa dni później zapytał go pan Sztolce, kto to u niego tak wykrzykuje wieczorami? — Naturalnie, powiedział mu Kazimierz, że to on.

— Cóż to za jakieś dziwne pieśni! — rzekł pryncypał.

— To kolendy polskie, — odpowiedział młodzieniec.

— Wstydz się pan coś podobnego śpiewać; zostaw to polskim chłopom; ja tego nie lubię, — mruknął pan Sztolce i wyszedł.

Smutno się Kazimierzowi zrobiło, — uczył, że nie jest w Ojczyźnie. I wróciwszy do swego pokoju, siadł na kanapę, wziął kantyczki do rąk, i zastanowił się, co ma czynić. Oburzony zakazem pana Sztolcego, rzekł sobie:

— Niech się dzieje, co chce; niech mnie wypędzi z domu, ale obyczaju polskiego nie odstąpię! — i chciał już huknąć potężnym głosem: lecz zreflektował się i uniknął; — żał mu było utracić tak korzystne miejsce, a tem samem i możliwość skutecznego dopomagania rodzicom; więc

nie mogąc śpiewać, czytał cicho sam dla siebie te pieśni. — Pani i panna, które się o tym zakazie pana Sztolcego dowiedziały, starały się Kazimierzowi w czasie długich wieczorów zimowych innej dostarczać rozrywki, i częściej odtąd zapraszały go do siebie. — Niechętnie wszakże Kazimierz tam chodził, bo jakiś wszystko trąciło mu obczyzną. Choć pan Sztolce był dla niego bardzo uprzejmym, choć żona jego była bardzo rozmowną, a panna Wilhelmina mile się do niego uśmiechała, i często go czarowała swym śpiewem i doskonałą grą na fortepianie, czuł on jednak w ich towarzystwie jakiś niesmak, zawsze mu tam czegoś brakło, choć nie umiał sobie z początku wytłómaczyć, z kąd to pochodziło. Opowiadał raz o tem księdzu Markowi, a ten mu na to: Wiesz, drogi rodaku, czego ci tam brakuje? Oto naszych polskich obyczajów, naszego serca, naszej polskiej swobody, naszej gościnności, naszej kochanej ojczystej mowy.

I przyznał mu to Kazimierz. Lecz mieszkając pod jednym dachem, chcąc niechcąc wchodził z rodziną pana Sztolcego w coraz to bliższe stosunki.

Zgodził się na to, żeby od nich przyjmować śniadanie, z początku za opłatą, potem i darmo; później zapraszano go na obiady w Niedzielę.

Często także pan Sztolce odwiedzał go w jego pokoju, chwalił czystość i porządek, siadał na kanapie, i gawędził zwykle z fajką w ustach o różnych stosunkach handlowych zagranicznych.

Kazimierz cieszył się, że pryncypał ku niemu takie powziął zaufanie i przywiązanie. Często, kiedy się pan Sztolce zagadał z Kazimierzem do późna, przychodziły, jak do dobrego znajomego, żona jego z Wilmelminą po ojca, zabierając go z sobą na wieczerzę, a zwykle przy tej sposobności stary Sztolce brał Kazimierza pod rękę i prowadził do siebie.

Dziwnem wydawało się Kazimierzowi to jego położenie. Nie miał wiele pociągu do tej rodziny, obcej mu narodowością, językiem, religią i obyczajami, a przecież czuł dla niej pewien rodzaj wdzięczności za to zaufanie nieograniczone, jakie w nim pokładała, za uprzejmość, z jaką go przyjęli do domu swego i grzecznościami wszelkimi obsypywali, a szczególnie za to, że mając u nich utrzymanie swe zapewnione całym zarobkiem, całą prawie płacą, jaką pobierał, mógł wspomagać podupadających rodziców.

A rodzice byli w bardzo, bardzo wielkiej potrzebie! Jakiś ciężki los zawisł nad ich domem

od czasu jak się Kazimierz z niego oddalił. Rok po roku jakieś klęski w gospodarstwie, to nieurodzaj, to grad, to powódź niszczyły prawie ich sprzęt. Choroby żony, samego Stefana i dzieci, długie i uciążliwe, niszczyły ostatki zasobów. Przyszło nawet do tego, że trzeba było pozbyć się niektórych rzeczy i sprzętów zbytkowych, aby życie i zdrowie ratować. Tym sposobem jedna strata pociągała za sobą drugą, tak że kto przed kilku laty widział i znał gospodarstwo Stefanów, teraz aniby poznał, że to byli kiedyś ludzie za-
możni.

Stefan jednakże nie szemrał i nie narzekał na swoją dolą; upadał pod pracą, ale wszystko cierpliwie znosił; a kiedy czasem żona jego Zofia utyskiwała na nieszczęście, on wyjmował wtedy listy Kazimierza i pokazując i mówił:

— Oto ten mi za wszystko złe nagrodą. Bóg nas w nim pobłogosławił. Kto ma takiego syna, ten nieszczęścia ziemskiego nie czuje. Patrz! moja Zosiu, na mnie; wracam od ciężkiej a może znowu daremnej pracy, -- sąsiedzi dziwią się, że na moje stare lata tyle i tak mozolnie mogę pracować. Nie wiedzą oni, co mi w tej pracy sił dodaje, co wytrwałości. Oto myśl o naszym kochanym Kazimierzu. Pracą bez narzekania i szemrania dziękuję Bogu za to szczęście, iż tak dobrego dał nam syna.

XIII.

Cieężkie Próby.

Kazimierz już drugi rok przebywał u pana Sztolcego pełniąc swoje obowiązki z zupełnem zadowoleniem pryncypała. Zaznajomil się był tymczasem z niektórymi kupcami, którzy bywali u państwa Sztolców. A bywało tam odwiedzin nie mało. Zasilając nieomal wszystkie głównejsze składy mebli swemi wyrobami, pan Sztolce starał się usilnie o to, aby z odbiorcami swoimi w dobrych ciągle być stosunkach. Bywał więc często u nich z żoną i córką, i wzajem do siebie ich zapraszał. Przychodziło też do jego domu niemal co wieczora, mianowicie zimową porą, wiele osób starych i młodych, więcej i mniej zamożnych, bawiących się i zaproszonych dla bawienia innych, trefnisiów, artystów, muzyków i t. p.

Jednych ciągnął interes, drugich potrawy i napoje wielu oczy dziewiętnastoletniej panny Wilhelminy. Urodna rozumna, czuła i posażna,

była przedmiotem starań niejednego z młodzieży berlińskiej; — ale rzecz dziwna, — córka kapitalisty, fabrykanta, wołała poufną rozmowę z zagranicznym przybyszem przy wieczornej herbacie, niż te świetne wieczory gromadzące około niej wszystko, co klasa przemysłowa berlińska miała najwytworniejszego z młodzieży.

Mówiono nawet cichaczem, że Panna Wilhelmina uczyła się po polsku. Gniewał się na to jej dziwactwo pan Kurcer, najstarszy z zalotników panny Wilhelminy, gniewali się i inni, ale wierni narodowej zasadzie, postanowili czekać wytrwale i obsypywać pannę Wilhelminę coraz to nowemi oznakami swego przywiązania. Matka jedynaczki, gotowa każde jej wykonać zechcenie, odgadła od razu, w którą stronę skierowały się uczucia dziewczyny; sama też przyznać musiała, że liczne zalety Kazimierza, jego skromność, rzetelność, pracowitość, rozum, uroda, słusznie mu w sercu córki pierwszeństwo dawały przed całym tłumem eleganckich próżniaków; nie tała wszakże sobie i tego, że wszystkie kroki, jakiego czynić mogła celem urzeczywistnienia marzeń swej córki, udaremni opór ojca, którego bożyszczem był majątek. Niebaczna! nie przypuszczała wcale, żeby i Kazimierz

— „mógł odrzucić te związki! Rozmowa, jaką tym względzie miała z Wilhelminą, gdy jej ymawiała obojętność dla pana Kurcera, przeonała ją o cichem, lecz żywym i głębokiem rzywiązaniu, jakie ta powzięła ku cudzoziemowi.

— „Rób matko, co chcesz odrzekła w końcu córka — ale póki pan Kazimierz bawi w naszym domu, niepodobna mi dla innych z młozieży być więcej jak grzeczną. Oddalcie go domu. — nie pójdę za nim, — ale szczęście tego życia będzie straconem.

— „Ależ moja droga — zagadnęła ją matka, — czyż wiesz z pewnością, że on choć myli o tobie? Czy może nie związany już dawnymi innemi ślubami, a ty łudzisz się nadziejami, które może wcale spełnić się nie mogą?

— „Bądź co bądź — odrzekła na to córka, — czy się dowie o mojej miłości lub nie, czy nie odrzuci lub przyjmie, miłość moja tylko la niego.

Po tej rozmowie, jeszcze tego samego dnia państwo Sztolcowie mieli jakąś długą ze sobą taradę. Pan gniewał się i zżymał, — pani płała, — w końcu mówili z sobą coś z cicha, — on grożąc podniósł palec do góry, — ona

spokojniejsza opuściła męża, by odejść do córki.

Biedny Kazimierz, zajęty, pracą w zakładzie, wykonywaniem nowych pomysłów, myślał o domu, rodzinie, Ojczyźnie; ani wiedział co się w jego bliskości działo; ani się domyślał, że spokój rodziny, która dla niego okazywała przywiązanie prawie rodzicielskie, niewinnie zamącił. Mimo częstego obcowania z panną Wilhelminą nie mając żadnych względem niej zamiarów, nie przypuszczał wcale, żeby mimowoli taką mógł w niej wzbudzić ku sobie przychylność. Owszem chętnie widział, gdy najbogatsza młodzież berlińska ubiegała się o jej rękę, a pytany często o zalety Wilhelminy, otwarcie oddawał jej największe pochwały. Lubiła go za to cała młodzież i zapraszała do siebie.

Jednakże rzadko i tylko z grzeczności u tych nowych znajomych bywał, i to kiedy już koniecznie odwiedzić ich musiał, aby ich nie obrazić na siebie.

Najchętniej za to przesiadywał u księdza Marka, bo tam była swoboda, bo tam znajdował coś, co mu przypominało Ojczyznę. — Aż raz jednego został zaproszony do pana Sztolcego.

Poszedł zaraz do niego.

— Prosiłem pana do siebie — zagadnął go in Sztolce, — żeby mu zrobić pewną propozycję. Z naszego obchodzenia się z panem pewno wyrozumiałeś, że cię wysoko cenimy, bo ż godzien jesteś naszego szacunku. Odkąd an moim zakładem kierujesz, muszę ci wyznać, e moje stosunki kupieckie o wiele się polezły, dochód mój w trójnasób się powiększył, awa i dobre imię się podniosły. Słowem... ardzo jestem panu zobowiązany. Dla tego wiąc, że pan masz zawsze moję korzyść na zględzie i spodziewając się, że i nadał zaufania mego zawodzić nie będziesz, — chciałbym ę uwolnić od pracy, — i w tym celu robię panu propozycją, czybyś nie przyjął u mnie podady pełnomocnika nieograniczonego z pensją o talarów, z wolnem pomieszkaniem i wspólnym z nami stołem? Czy zgadzasz się pan nato?

— Nie wiem, — odrzekł Kazimierz, — zyli zasłużyłem sobie na tyle zaufania, bo nie czynilem nic więcej, jak tylko co mi sumieie nakazywało. Starać się jednak będę i naal sobie zachować pozyskane zaufanie Pańskie! rzyjmuję propozycją, a nawet dziękuję panu a nią z głębi serca, bo mię stawia w możnoici lepszego dopomagania kochanym rodziom.

— Otwarcie panu wyznaję, że moi rodzice przed kilku laty zamożni, teraz przez różne okoliczności podupadli, nawet zubożeli. Moją powinnością jest dopomagać im, tak jak oni przedtem mi dopomagali. Pan zapewniając mi u siebie tak świetne stanowisko przyczyniasz się najwięcej do tego, żebym mógł wypłacać się rodzicom z długu wdzięczności. Dla tego jeszcze raz czule panu za to dziękuję i przyrzekam, że nie będę szczędził sił, ani starania w prowadzeniu interesów pańskiego zakładu.

I skończyła się rozmowa. Już młodzieniec był u drzwi kiedy pan Sztolce dorzucił:

— A bądźże, panie Kazimierzu cokolwiek uważniejszym na moje kobiety, bo masz w nich dobrych adwokatów.

Uradowany Kazimierz powrócił do swego mieszkania i w największej radości napisał list do rodziców, opisując im rzecz całą; pocieszał ich i zapewniał o swojej dozgonnej wdzięczności.

Nazajutrz zajął nowe, obszerniejsze pomieszkowanie w tym samym domu, i rozpoczął swój nowy urząd. Położenie jego stało się teraz więcej niezawisłem; jego znaczna pensya, względy jakich doznawać teraz zaczął od samego pana Sztolcego i od jego rodziny, stosunki, w które

ako pełnomocnik z innemi domami kupieckimi wchodził, wszystko to podnosiło Kazimierza oczach jego znajomych. On zaś nie wiele na to wszystko zważał, a najwięcej się tylko tem cieszył, że rodzicom będzie mógł więcej niż dotychczas dopomagać, bo wszędzie nie własny interes, ale jako dobry syn, rodziców dobro i poiechę miał na oku. I w rzeczy samej, po pół roku mógł im już posłać na zakupienie dwóch par wołów, dosyć znaczną sumkę pieniędzy, dnia tego, w którym je odesłał, był tak wezłym, jakby go nie wiedzieć jakie szczęście było spotkało.

Zresztą pomimo tak pięknego położenia na zewnątrz wcale Kazimierz sam w sobie się nie mienił. Zwyczajów polskich nie zaniedbywał, do kościoła świętej Jadwigi uczęszczał, polskie książki czytywał. Jedynie tylko co do stroju tyle się odmienił, że nie chcąc zwracać na siebie uwagi publicznej, kiedy gdzie wychodził z domu, nosił się tak jak w Berlinie powszechnie się noszono; lecz w domu państwa Sztolców, u siebie w kantorze i w zakładzie chodził zawsze w stroju narodowym: w czamarze z pęlicami, żupaniku i w pasie ze srebrną sprzązka.

Ale jednego razu przyszedł pan Sztolce

wieczorem do niego, siadł sobie, jak to zwykł czynił, na kanapie, i rozmawiał o jakichś obcych i jętnych rzeczach; dopiero zabierając się do wyszucia, zwrócił się do Kazimierza, i biorąc go za pętlicę jego czamary rzekł:

— Miałem panu zwrócić uwagę na to, że ludzie, którzy ze mną w ważnych stoją stosunkach pieniężnych, ludzie, którzy prawie co dzień odwiedzają mój sklep i wchodzą do mego kantoru, mówili mi, że dziwną im się wydaje, że pan, mój pełnomocnik, przyjmujesz ich tam w stroju jakimś rażącym i obcym.

— Jak to — zawołał Kazimierz — wszak to nie obcy strój, ale mój strój narodowy polski!

— No — widzisz pan, — odrzekł pan Sztolce, — w Polsce inaczej, a w Berlinie też inaczej. Zresztą gdybyś pan obstawał przy swoim, to kupujący możeby się zrazili. Pan wie, że różni są ludzie. Przecież pan masz rozum. Czy ubiór stanowi człowieka? Uczyń pan to dla mnie i dla siebie, bo nie mógłbym się na to zgodzić, aby z tego wynikł jakiś uszczerbek dla mego zakładu. Zresztą miłoby nam było i mnie i mojej żonie gdybyś się pan cokolwiek więcej zastósował do naszych obyczajów. — Dobranoc Panu!

To powiedziawszy odszedł. — Kazimierz stał jakby gromem rażony: lży puściły mu się oczu, sam nie wiedział, co mu się stało. Za trzymać swój ubiór, znaczyłoby tyle, co chcieć tracić miejsce, a tem samem i możliwość wspomagania rodziców: złożyć zaś strój narodowy.... ach! jakże mu to było bolesnem.

I siadł — i dumał — i myślał długo; potem zabrał się nagle i poszedł do księdza Mar-
ta na naradę. W godzinę może powrócił bla-
ły i widocznie wzruszony, a stanąwszy w środ-
ku pokoju zawołał:

— Dla ciebie to, ojczyźnie i matko, uczynię tę ofiarę!

I zaczął składać z siebie polskie szaty, a ściągawszy je, wyczyścił czamare, wyczyścił szupan i pas ze srebrną sprzączką, a poskładawszy je schował do komody. Wyjął potem kamizelkę i surdut, wdział na się, spojrzał w zwierciadło i smutno pokiwał głową.

Nazajutrz siedział Kazimierz przebrany po-
dług życzenia swego pryncypała w kanto-
rze i pracował; w tem wszedł pan Sztolce,
a spostrzegłszy zmianę w jego ubiorze rzekł:

— Jak panu do twarzy, aż miło popa-
trzeć!

Skrzywił się Kazimierz na te słowa i milczał.

Pan Sztolce zaś dodał:

— Przyszedłem prosić pana dziś po obiedzie z nami na przechadzkę, a potem na wieczór. Będzie u nas wiele osób. Zobaczysz pan sam, że korzystniej jest dla pana nosić się po naszem i stósować się do całego świata ucywilizowanego. Córka moja, która mówi, że panu tak pięknie było w polskim stroju, bardzo ciekawa zobaczyć go w naszym; boi się, abyś pan na tem nie stracił.

— No, no... trzeba się powoli przyzwyczajać i zabierać do naszego świata. Zresztą będą dziś u mnie osoby dystyngowane, z którymi postanowiliśmy zrobić małą wycieczkę za miasto trzeba się wystroić. Ja, jakem był tak młody jak pan, to nie żałowałem na krawca i szewca i wszędzie też miałem szczęście; moję teraźniejszą żonę zdobyć mi pomogli krawiec i szewc. Ho ho! krawiec i szewc, to są często wielcy ludzie, nie raz dopomagają nam do dopięcia naszych celów;... ja wiem, że i pan to rozumiesz tylko jesteś zbyt skromny i... nota bene w tym punkcie zbyt oszczędny. Tak, tak, kochany Panie Berdysz, krawiec i szewc... to grunt!

To mówiąc, ujął pan Sztolce Kazimierza za rękę, a ten uczuł, że mu coś wcisnął w dłoń; lecz nim się spostrzegł, pryncypał jego oddalił się. W ręku jego pozostał liścik; rozwinął go Kazimierz i znalazł w nim dwieście talarów i te słowa:

— Na krawca i szewca. — Oczekujemy po obiedzie.

Kazimierz nie wiedział co czynić, chciał pójść i oddać pieniądze, lecz wstrzymał się, bo wiedział, żeby się pan Sztolce mocno tem obraził, i znowu rodzice stanęli mu przed oczyma!

Ach! biedny był bardzo Kazimierz!

Siadł więc do bióra i dalej pracował. Wpół godziny później ktoś cichaczem wszedł do kanтору; obrócił się Kazimierz i ujrzał człowieka jakiegoś nieznajomego przed sobą, za którym stał chłopiec trzymający dość duże zawiniątko. Zapytał się, kimby był i czego sobie życzył?

Ten odrzekł:

— Jestem Sznajder, właściciel magazynu sukien męzkich; właśnie był u mnie posłaniec od pana Sztolcego, oświadczając, że pełnomocnik jego pan Berdysz, któremu mam zaszczyt się prezentować życzy sobie mieć natychmiast ubiór podług najświeższej mody. Przyniosłem co mam najwyborniejszego i najgustowniejszego:

oto spodnie! Nawet nie mojej roboty, lecz prosto z Paryża sprowadzone; oto frak najostatniejszej mody, jaki tylko na książęcych pokojach widzieć można; oto kamizelka! przypatrz się pan sam, że to arcydzieła sztuki krawieckiej. Wszystko z pewnością do wzrostu i objętości pana stósowne. No! ja przysięgam, że w tym stroju pan oczy całego świata na siebie zwróci! Odnoszę to wszystko na górę do pana, rachunczek załączony, ale wcale nie nagli. — Uniżony sługa! polecam się łaskawym względom!

I nie czekając odpowiedzi, pan Sznajder oddalił się z chłopcem.

Kazimierz odurzony sam nie wiedział, co się z nim dzieje; pokręcił głową, siadł znowu do bióra, i dalej pracował. Zaczęli przychodzić kupcy i inni ludzie z interesami, było wiele i innych rzeczy do załatwienia, a tak pracą zajęty Kazimierz zapomniał o bileciku z pieniędzmi, o krawcu i jego fraku. Dopiero w południe, gdy powrócił do swego pomieszkania, pierwsze, co mu tutaj pod oczy podpadło, to były rzeczy porozkładane przez krawca Sznajdera. Zrazu obojętnie na nie spojrzał; potem zbliżył się do nich, brał je do rąk, oglądał i przypatrywał im się bliżej; i właśnie trzymał frak w ręku, kiedy

się drzwi otworzyły i ukazała się głowa służącego państwa Sztolców.

— Ach! przepraszam pana, pan się ubierasz? to dobrze bo właśnie przychodzę od pana Sztolcego prosić pana.

Kazimierz tedy prawie bezprzytomnie i machinalnie tylko, a z widoczną niechęcią zaczął się przebierać. Nie patrzył wcale w zwierciadło, bo obawiał się ujrzeć nie siebie ale kogoś obcego. Ubrał się, i poszedł do państwa Sztolców.

Tam zastał pokoje suto wystrojone, wiele gości płci obojej i różnego stanu, kupców, urzędników, z pomiędzy których kilku było mu znajomych. Przywitano go nadzwyczaj uprzejmie. Pan Sztolce wziął go pod rękę i przedstawiał wszystkim z osobna. Żona jego bardzo mile go przyjęła, i powiedziała mu cichaczem, że teraz przedstawia się jej, jako człowiek pojmujący potrzeby i postęp wielkiego świata; i dodała, że nawet w oczy mu to powie, iż z całego towarzystwa jest najprzystojniejszym mężczyzną. — Pan Sztolce wzięwszy go na stronę, rzekł:

— Ho ho! z pana człowiek niebezpieczny! Dzisiaj zakasujesz mi tu całą młodzież! Widzisz pan, że prawda, co ja mówiłem, że krawiec

i szewc to grunt! Zobaczymy jak się na koniu popiszesz!

Panna Wilhelmina, zbliżywszy się ukradkiem do Kazimierza, spuściwszy oczy szepnęła:

— Panie Kazimierzu, aż się gniewam, że panu tak we wszystkim do twarzy, — wszakże wołałabym go widzieć tak jak wczoraj, a nie w tej fraczynie. Zlituj się, kochany Kazimierzu, pan Kurcer, który chce przed światem grać rolę mego narzeczonego, zniewolił moich rodziców do przyjęcia dziś podwieczorku w jego pałacyku za miastem. — Skazaną jestem na to, żeby jechać wraz z matką w jego towarzystwie; siąść pan na wierzchowca mego ojca, a jedź przy nas, nie odstępując na chwilę, bo mnie się здаje, że umrę z nudów po drodze! Czy odmówisz mi tego?

— Życzenie pani jest mi rozkazem, odrzekł Kazimierz.

— A czemuż także nie życzeniem? dodała ciszej Wilhelmina. — Ależ oto i on; nie zapomnij o mojej prośbie.

Rzeczywiście pan Kurcer ująwszy matkę pod rękę, przysunął się do p. Wilhelminy, podał jej drugie ramię, i sprowadził do swego powozu; gospodarz z resztą pań i poważniejszymi gośćmi zajął kilka jeszcze pojazdów, a młodzież,

między nią i Kazimierz, dosiadła kilku rączych koni.

Ledwo wyjechali na żwirówkę prowadzącą do Szarlotenburga, gdy konie wystraszone widokiem wielbłąda prowadzonego przez jakiegoś Włocha, zarżały, uderzyły w bok, spięły się jak dęby, a wyrwawszy lejce, ze słabych rąk pana Kurcera, puściły się jak dwie z jednego wystrzelonego łuku. Pani i panna Sztolee krzyczały z przestachu, przechodnie załamywali dłonie, bo każdy był pewien, że pojazd w powietrzu się rozkruszy, albo o pierwsze rozbije drzewo, — młodzień jadący konno, przerażona tym wypadkiem, krzykiem swym i narzekaniem rozbiegane konie tylko więcej jeszcze straszyla. Jeden Kazimierz ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zaciął rumaka, jak wiatr pognął za nieszczęśliwymi, — dopada, w biegu chwytając cugle rozpędzone konie, — ale w tej chwili, gdy te stawiają, popręg u siodła Kazimierzowego pęka, kon wyrywa się z pod niego, tak że Kazimierz spada pod podręcznego konia, który go nieco wlecze, a wreszcie niebezpiecznie nadeptuje. Kazimierz widział tylko jeszcze nadbiegających ludzi, słyszał jakiś krzyk niewieści — i stracił przytomność.

Kiedy Wilhelmina z matką i panem Kur-

cerem w rozpędzonym siedziała pojeździe, śmiertelna bladość okryła jej lica; konwulsyjnie chwyciła się poręczy siedzenia, i była bez przytomności prawie. Lecz kiedy widziała, że ktoś chwyta za opuszczone lejce, że sam pod konie pada, i gdy w tym nieszczęśliwym wybawcy poznała Kazimierza: wydała okrzyk rozpacz, a nie dbając o matkę, której nadbiegli ludzie i pan Kurcer, pomogli wysiąść z pojazdu, rzuciła się na ciało młodzieńca, którego tymczasem z pod koni wydobyto, a widząc go bez życia, konwulsyjnie zapłakała.

Darmo pan Kurcer prosił, żeby chorego lub może trupa zanieść już do jego domu, nalegał, żeby tym przypadkiem, smutnym wprowadzie, ale przecież nie tak mocno wszystkich dotykającym, nie psuć sobie zabawy; darmo przedstawiał, że przecież lekarz zrobi co swego; darmo inni młodzieńcy namawiali do dalszej jazdy, chcąc zatrzeć plamę okazanego tchórzostwa, — panna Wilhelmina stanowczo rzekła, że nikt jej od Kazimierza nie zdoła oderwać. — Pan Sztolce, chcąc pokryć cały wypadek, który zdradził uczucia jego córki, sam uznał za konieczną, żeby powrócić, a pan Kurcer domyśliwszy się wszystkiego, nie nalegał już więcej, lecz zresztą młodzieży pojechał do siebie pocieszyć się po

wypadku, który zdawał mu się dostatecznie dowodnić płonności własnych jego około Wilhelminy zabiegów.

— Szkoda wydatków, pomyślał sobie, a do tego tylu jeszcze świadków mej niezręczności i przegranej!

Chorego i bezprzytomnego Kazimierza złożono w lektyce, — państwo Sztolcowie towarzyszyli niosącym go do domu, a umieściwszy go w jego mieszkaniu, niezwłocznie lekarskiej zawezwali pomocy. Po całogodzinnych dopiero usiłowaniach pierwszy raz ocknął się chory; promień nadziei wstąpił w serca otaczających. Pan Sztolce kobietom polecił chorego, a sam zbiegł do fabryki, gdzie obecność jego była teraz konieczną, i gdzie smutny przypadek, który Kazimierza spotkał, już był doszedł do uszu wszystkich robotników. Porzuciwszy robotę, otoczyli opowiadającego sługę, i z żywym współczuciem wypytywali się o wszystkie szczegóły.

Północ była, gdy Kazimierz odzyskał przytomność. Ujrzał się na swoim łóżku; pokój był słabo oświetlony; obok niego siedziała pani Sztolce, lzy z oczu ocierająca; przy łóżku klęczała panna Wilhelmina, trzymając jego rękę w swej dłoni; lekarz w nogach łóżka z zegar-

kiem w ręku liczyć się zdawał chwile życia jego.

— Jest nadzieja, szepnął nareszcie.

— Więc jest nadzieja! krzyknęły kobiety, utopiwszy wrok w mówiącym; „więc żyjesz, panie Kazimierzu! — och! Bogu za to dzięki.

— I Pannie Najświętszej, jęknął chory; ach! jakże mnie pragnienie pali, — o! moi rodzice! — a ujrzawszy panią Sztolce i jej córkę przy sobie, odezwał się do nich:

— I panie ciągle przy mnie? Czemże się im odwdzięczę?

— Nie mów o tem, panie Kazimierzu, odrzekła pani Sztolce, tyś nas dziś od niechybnej uratował śmierci, — nie odstępimy cię, aż nie minie niebezpieczeństwo.

— Aż nie wyzdrowiejesz zupełnie, dodała córka; ale oto lekarstwo, przyjm je z rąk moich, panie Kazimierzu. Oby moja ręka była tak cudowną, jak twoja, kiedy nas ze śmiertelnego wybawiła niebezpieczeństwa; bądź dobrej myśli, wszystko dobrze będzie.

Kazimierz wziął lekarstwo, wyrzekł kilka słów podziękowania i niedługo zasnął.

— Dobry znak — mówiła matka.

— Dobry znak, powtórzył i lekarz; potłu-

zone wprawdzie nieco piersi i ręka zwichnięta, ale za miesiąc będzie zupełnie zdrow.

Panna Wilhelmina wyprawiwszy matkę do bratka, sama została przy chorym z jednym tylko służącym; noc całą przesiedziała w sąsiednim pokoju.

Przez dni kilka Kazimierz był tak mocno słabym, że powątpiewano nawet o jego powrocie do zdrowia. Już tydzień mijał, a zaledwie zaczął być jakąś poprawę. Przez cały ten czas matka z córką na przemian go pilnowały.

W końcu drugiego tygodnia, kiedy Kazimierz już całemi godzinami czuwał, i mniej go zmęczyła rozmowa, wszedł nareszcie pan Sztolce i rzekł:

— Panie Kazimierzu! nie uwierzysz mi, jak poleję nad twoją chorobą. Nie myśl, żebym cię tak bardzo martwił jedynie z powodu strachu, jakiej mój zakład ztąd doznaje, choć i tam, nie jestety! znać twoją obecność, a interesów zasygnalizować nie można; ale żal mi szczerze, żeś właśnie ratując moją rodzinę szwank taki odniósł. — Dla tego przyszedłem ci oświadczyć, że mimo twojej choroby nie wytrączę ci nic z pensyi, zapłacę lekarza i aptekę, a nadto daruję ci sto talarów, które przyjmij jako dowód mej wielkiej wdzięczności! —

— Dziękuję panu serdecznie, odrzekł chory, a bądź pan przekonany, że gorąco się modlę do Pana Boga o zdrowie, abym ci w dwójnasób wynagrodzić mógł szkodę, jaka, ztąd dla stósunków twoich wyniknąć może.

— I wyszedł wspaniałomyślny pryncypał — a niebawem weszła panna Wilhelmina.

— Cóż ci tu ojciec mówił? — zapytała. — Ach, on tak zajęty, że ledwo odwiedzić cię może; nie bierz mu tego za złe, panie Kazimierzu, ma on dużo przywiązania do ciebie, jak do nikogo może dotychczas.

Kazimierz powtórzył jej słowa pana Sztolcego, pochwalił bezinteresowność jego, i wyraził swą radość z powodu podarunku. Panna Wilhelmina zarumieniała się, usłyszawszy, że ojciec choremu wspominał o pracy, kiedy ten jeszcze ledwo władał członkami, — pojęła niestosowność nagradzania jego poświęcenia pieniędzmi, i jeszcze w tym stanie chorego, więc rzekła:

— Panie Kazimierzu, wierz mi; uznaję, że serce sercem, życie tylko życiem płacić się może. Daruj kochany panie Kazimierzu, daruj memu ojcu, — wszak on czyni tak jak rozumie, za to bądź pewien dozgonnej wdzięczności z mojej i z matki mojej strony. Powiedz, czego so-

te życzysz, rozkazuj, a wszystko dla ciebie czynię.

— Zawstydzasz mnie, łaskawa pani; nie wspominać wcale o wypadku, co wtrącił mnie tę chorobę; każdy z moich rodaków byłby czynił to samo w mojem miejscu. Raczej pozwól mi podziękować sobie za twą niewymowną dobroć i troskliwość. Jeżeli mi wolno cię prosić, panno Wilhelmino, tedy zechciej łaskawie przesłać te sto talarów do księdza Marka, i poprosić go listownie, aby je posłał mojej matce. Wszak to wkrótce jej imieniny! Mój Boże! Wykle sam pisałem do niej, dziś ręka nie usłużyła — zwykle jakie przesyłałem upominki, dziś tylko martwy pieniądz posłać jej mogę. Niech ksiądz Marek pozdrowi, niech jej powie, że jak zajęty iż pisać do niej sam nie mogę; ale skoro mi czas pozwoli, sam napiszę, i za opieszałość przeproszę serdecznie. Tylko o moim przypadku i chorobie niech jej nie wspomina! Czyż nie gniewasz się, pani, że ją tem śmiem obarczać?

— Bynajmniej! — odrzekła, — owszem wypełnię wszystko, wszystko czego tylko zażadasz. Czy mamy prosić o odpowiedź rychłą, może i o pokwitowanie z odebranych pieniędzy?

— O tak, niech matka kilka słów odpisze będą one mi wielką pociechą!

Czwarty już tydzień ciężkiej choroby zbliżał się do końca. Kazimierz wstawał już chwilami z łóżka, robił kilka kroków po pokoju, — siadywał dłużej na kanapie, słowem wylizywał się, jak to mówią, na dobre. Jadł przytem dużo i dobrze, dzięki zabiegom troskliwej panny Sztolce, która wszystkich drukowanych i pisanych kuchmistrzów i zawołanych kucharek, nawet sąsiadek się radziła, aby przez język i podniebienie działać na żołądek i ogólne zdrowie swego pacyenta. A że każdą nieomal potrawę przynosiły i podawały przyjazne ręce panny Wilhelminy, słodził jej uśmiech, wejrzenie i zachęta, więc Kazimierz jadał za dwóch a trawił za czterech, i z niecierpliwością od godziny do godziny wyglądał swej karmicielki, jak dla niej samej, tak i dla tego co zwykle z sobą przynosiła.

Właśnie otworzyły się drzwi, i panna Wilhelmina weszła z pełną tacą. Były tam i rosół, i sztuka mięsa z chrzanem, (bo panna Wilhelmina uczyła się polskiej kuchni) i pieczeń huzarska z kapustą, i jakieś leguminy i nieodstępna towarzyszka każdego w Niemczech obiadu, heringssalata, tj. sałata z kartofli krajanych, śle

zia i cebuli. Pan Kazimierz zmiotł do czysta, nawet i sałatkę dla przyjemności panny Wilhelminy, podziękował jej uprzejmie pocałowaniem rękę, a ta rzekła:

— Za to, żeś pan był tak posłuszny, dam ci na przekąskę liścik, zapewne będzie od matki.

Kazimierz zerwał się z kanapy, ale dziewczyna zawołała odskakując:

— Oho, nie tak prędko! jakież z pana ła-
łomieć! dam dopiero pod warunkiem....

— Pod jakimże? dobra panno Wilhelmino!
ięch słyszę!

— Przrzekasz, że wypełnisz?

-- Przrzekam.

— Na verbum nobile, jak u was mówią?
to musisz mi go przetłómaczyć od deski do
deski!

— O chętnie! jak najchętniej! ale jakże
ani nie mają nudzić źle napisane i wiejskie
owiny od mojej prostaczej rodziny?

— Nie, panie Kazimierzu, nic co się ciebie
yczy nie jest dla mnie obojętnem. O jakżeby
yła szczęśliwą, gdybym tę wiejską twoją ro-
zinę poznać mogła!

Po tych słowach podała Kazimierzowi list;

poznał rękę matki, ucałował go czule i to wy-
czytał:

Kochany Synu!

Juścibym była wołała, byś mi był wła-
sną ręką napisał życzenie na moje imieniny, —
ale kiedy Pan Bóg chciał, żeś tak był bardzo
zajęty, to stała się jego wola święta. Serce
moje nienasycone, — ty wiesz, moj Kazimierzu
jak mi Cię tu brak doma, to choć listek od
Ciebie rozwesela mi smutną duszę. Ale zka-
ty masz tyle pieniędzy? Ej, dziecko moje, pil-
nuj się, — choć wierzę, że uczciwie nabyte. —
Mój Boże, nie dość, że my nie możemy Ci nic
posłać, ale jeszcze od Ciebie bierzemy! Dopiero
niedawno sto, jużci znowu sto talarów, a i ojcu
jeszcze przysłałeś tyle upominków! Ale, ale, te
podarunki zanadto pańskie, my się tu na tem
nie znamy. Dziękuję Ci, dobre dziecko! Sza-
nuj pryncypała Twojego! — módl się, bądź
wierny, pracowity i posłuszny, a duszy mi nie
zatrać, bobyś mi wziął życie. Niech cię tam
ma w opiece swej Pan Jezus i Matka Boska
Częstochowska!

Twoja matka

Zofia.

Kazimierz miał łzy w oczach; ale własnym rozumem nie wierzył, — zgoła nie rozumiał listu. Tym ciekawiej więc przebiegał przypisek od siostry. Panna Wilhelmina siedziała tymczasem jak na węglach. Siostra tak do niego pisała:

Drogi Kazimierzu!

Daruj, ale choćem młodsza, to Cię nieco wylaję. — Kiedyśmy pierwszy niemiecki list odebrali, i w nim sto talarów, to nam ksiądz proboszcz wytłómaczył, żeś ty jechał do Hamburga za jakimś drzewem zagranicznym, i za machinami, i że wrócisz niebawem. Ale drugiego tośmy już ledwo pół rozumieli; byli ci on wyprowadzie po polsku napisany, ale niechże tam ich weźmie twego przyjaciela z takim językiem. Pisze, że ty jeszcze nie jesteś wrócony, bo cię interesowie zatrzymują w Hamburdze, że ale spodziewasz się przyjść za dwóch tygodniów, a wtedy nie będziesz miał nic chybciejszego, jak swojego błęda znowu dobrze zrobić i ratce słownie długi listeczek nasadzić. — Ale już tego dosyć; mówię Ci, Kaziu, ojciec bo się teraz rzadko śmieje, ale jak ten list słyszał, to mu się wszystkie guziki u kaftana poobrywały, a Tadzio niecnota chciał mi wydrzeć list i zanieść do pana

nauczyciela, mówiąc, że twój przyjaciel dostanie na sempiternę za takie baki niesłychane. Jak przyszło do podarunków, tośmy niemal nie pokładli się od śmiechu. — Ojciec przymierzył ten aksamitny żupan, ale to ani na żyda z takim kolorem jak sałata: ta czerwona krymka z kutasem, to niby sitko do tabaki, a takie pstrokate, że aż źle patrzeć; a co żółte trzewiki na kanwie, toć przecie dobrze wiesz, że ojciec od dzieciństwa jałowiczego bóta jeszcze nie zdjął z nogi; a te treпки toby od razu zostawił w oborze. Kiedyśmy wyciągali cybuch, a ojciec zobaczył ogromne fajczysko, niby u Szmula narzędzie, aż się zmarszczył i zawołał: Co mi po tej fajce? albow ja to Niemiec? Żeby to była tabakiera, toćbyto jeszcze, ale fajka! — I gdyby nie Kościuszko wymalowany na główce, byłby ją zaraz oknem wyrzucił. Więc się ojciec dobrze zmarszczył, i mruczał o tę fajkę. Kapelusz pomarańczowy z fioletowem piórem dla matki, to ci Kaziu nie wiedzieć zkąd się wzięło takie kupno. Jeszcze mantylka jak mantylka, robi sobie mama z niej spódnicę, lub ze dwa fartuchy, ale boa to jakby na warszawską elegantkę; jedyne kolczyki na coś się zdadzą; matka mi je obiecała dać kiedyś, — ale nie powiem Ci jeszcze kiedy.

Tadzio szeptał mi ciągle, że jak rodzice pójdą do kościoła, to on weźmie ojca żupan, i przebierze się za gila i pójdzie gwizdać na stodółkę. — Więc my chcieli te wszystkie rzeczy odstąpić arędarzom za mięso, korzenie i inne małe długie; ale się ojciec namyślił, żeby cię nie obrazić, więc zostanie to wszystko do twego przyjazdu. A kiedyż przyjedziesz? choćby na moje zaręczyny! — Ale nie, nic ci nie napiszę więcej za to, żeś nas tak tym listem wymęczył. Nagniewaj się też troszeczkę. Twoje wołki bardzo ładne i dobrze chodzą; ojciec ani pół się tak teraz nie męczy jak dawniej. Dostałam od mamy drugą jałówkę, — to będzie na moje gospodarstwo. Tadzio dobrze się uczy i dostał na popisie w szkole nagrodę; uczy się już po łacinie.

Ojciec Cię błogosławi — tylko nam wracaj niedługo — a pisz często. Ściska Cię serdecznie

Twoja stęskniona siostra

Jadwiga.

Kazimierz to dziwił się, czytając o jakichś drugich stu talarach, o upominkach wcale mu nieznanych, — to śmiał się do rozpuku, gdy obie sędziwego ojca wystawił w zielonym szlaf-

roku, w żółtych pantoflach, w czerwonej krymce, z półkwartową fają w ustach; spostrzegł się jednak prędko i rzekł list odkładając:

— Panno Wilhelmino, gdybym nie znalazł ręki mojej matki i siostry, tobym nie uwierzył, że to do mnie pisane.

Tu opowiedział pokrótce treść listu, naturalnie tylko w zarysie i bez dodatków Jadwisi, a panna Wilhelmina uradowana i zawstydzona zarazem, położywszy rękę na ramieniu Kazimierza, rzekła:

— Panie Berdysz, ja panu to wytłómaczę. Kiedy w początku twojej choroby ksiądz Marek przyszedł cię odwiedzić i o okropnym twym przypadku się dowiedział, wszedł tylko do twojego pokoju, kiedyś spał, i żeby cię rozmową nie męczyć, odmówił tylko modlitwę, przeżegnał, i ucałowawszy w czoło, wyszedł.

— Poczciwy ksiądz Marek! nigdy mu tego nie zapomnę! — odrzekł Kazimierz.

— Poszliśmy za nim ja i matka, zaprosiliśmy go do pokoju, opowiedziały twój czyn bohaterski i ubolewałyśmy nad twoim stanem obecnym. — Wtedy on zaczął mówić o twoich rodzicach, opowiadał jak ty u nich składasz regularnie swoje pieniądze, aby ich kiedyś użyć na założenie własnej pracowni, — napomknął

e właśnie pierwszego Lipca zwykły czas prze-
yłki nadchodził, i żeś w tych dniach miał pisać
do domu. Daruj, żeśmy się domyśliły z matką,
co te przesyłki znaczą. — Ty rodziców twych
wspierasz, a tyś tu chory, i to z naszej przyczy-
ny. Więc matka cichaczem sto talarów posła-
ła od siebie, i otóż powód owego pierwszego
listu.

— Co słyszę? jakżeście wy dobre kochane
panie! — rzekł Kazimierz.

— Kiedyś mi dał owe sto talarów darowa-
ne od ojca, mówiła dalej panna Wilhelmina,
kiedyś kazał odesłać je księdzu Markowi, to
niechęć wzięła niezmierna własnoręcznie prze-
syłkę tę uskutecznić. Dalej więc polską grama-
tykę i słownik wzięłam do ręki, jedną z przyja-
ciółek uprosiłam do pomocy, i skleciłyśmy, ja-
keśmy umiały list w twoim pięknym języku, ar-
cydzielo, od którego pewnie matkę uszy bola-
ły. Podpisałam się twoim przyjacielem; czy nie
gniewasz się o to? Ale drogi panie Kazimierzu,
pan nie pojmujesz, jakbym ja rada poznać pań-
ską matkę; więc przemyślałam nad tem, jak-
by z nią stosunki jakie zawiązać, i postanowi-
łam korzystać z tej sposobności. Posłałam więc
i od siebie parę upominków, robótki, którem
tobie chciała ofiarować na imieniny posłałam

ojcu: dokupiłyśmy z mamą szlafrok i te inne drobnostki, i posłałyśmy do Góry. Czyż mile je aby przyjęto?

Kazimierz cieszył się w duszy, że był zamilczał o wrażeniu, jakie w domu sprawiły niestósowne dary; żeby jej przecież nie zasmucać, uznał je za piękne, podziękował serdecznie w imieniu rodziny, wspomniał o kolczykach dla siostry, o jej zaręczynach, a w końcu dodał:

— Panno Wilhelmino! Pani byłaś mi w tej chorobie aniołem opiekuńczym; bez jej pomocy Bóg wie czybym się był zdołał podnieść z tego łoża boleści, — Bóg wie czybym mógł ujrzeć jeszcze kiedyś ojca, i matkę i rodzinę moją; a oto dziś odbieram nowy dowód twojej łaski! Niech ci Pan Bóg odplaci, — ja wypłacić ci się nie zdołam; służba całego życia nie starczyłaby na to!

Tu panna Wilhelmina zalała się łzami:

— O nie! zawołała, całe życie za długo, — kilka lat tylko żyć z tobą, panie Kazimierzu, a potem chętniebym chciała umrzeć. Ocaliłeś mi życie, więc ono do ciebie należy; czy odrzucisz taką ofiarę?

— Co mówisz? droga panno Wilhelmino! jam, sługa twój, sługa ojca twego ciebie niegodny, nigdy nie wart takiej ofiary! Jakżeby

miał odrzucić to, po co mi sięgnąć nie wolno?

To mówiąc ujął jej rękę i z wdzięcznością do ust przycisnął. W tej chwili weszła pani Sztolce, oczy Wilhelminy powiedziały jej wszystko; — rozplakała się na ten widok i rzekła:

— Kochane dzieci, niech was Bóg błogosławi! — Ale panie Kazimierzu, twoje zdrowie wymaga spokojności, pójdź Wilhelmino uspokój się mój synu! Lekarz pozwolił panu przejechać się cokolwiek; wszak nie pogardzisz naszym towarzystwem? — pojedziemy z tobą!

— Ale już nie pan Kurcer powozić nas będzie! — dodała wesoło Wilhelmina.

Opisać stan duszy Kazimierza, kiedy pierwszy raz wyjechawszy pod Lipami do Zwierzyńca, obaczył słońce, miłą zielenią i kwiaty, usłyszał muzykę ptaszków, nie byłoby łatwą rzeczą. Czuł wzrastające szybko w sobie siły — o los rodziców był spokojny; naprzeciw niego siedziała w powozie ta, co go nazywała synem, i ta co jak anioł z choroby wiodła go do zdrowia, co miłowała jego matkę, co jemu życie swe poświęcić była gotowa. — Więc czuł w sobie ten błogi stan szczęścia, o którym nieraz marzył, czytając jaką powieść rodzimą lub zagraniczną; czuł się zadowolnionym, szczęśliwym.

Zdrowie jego szybko wracało; w kilka dni

potem zeszedł już do pracowni. Podwładni z nieudaną przyjęli go radością — przywitali go po swojemu pełnemi kuflami i wesołemi okrzykami. Ale praca tłumiąc uczucia, budziła w nim zarazem rozwagę i panieć. — Kazimierz powiódł myślą po za siebie, przeleciał szybko czas sześciotygodniowej swej choroby, i nie mógł przy jego końcu znaleźć uspokojenia. Dziękował Bogu za zdrowie, wspominał sobie z wdzięcznością troskliwą opiekę domowników, ale coś mu mówiło, że tę opiekę, ten powrót do zdrowia opłacić będzie musiał może dotkliwszem jeszcze cierpieniem.

W kilka tygodni później, kiedy Kazimierz siedział sam jeden w swoim pokoju i czytał, wszedł do niego pan Kurcer, znajomy wielbiciel panny Wilhelminy, podziękował mu za wyświadczoną przysługę, politował się nad jego chorobą, powinszował powrotu do zdrowia, wreszcie rzekł:

— Ale co widzę? Pan jeszcze teraz zawsze nad książką lub przy pracy!?

— Książka i praca, — odrzekł Kazimierz — dla mnie najmiłszem zajęciem.

— He, he! Gadaj pan sobie! Są jeszcze inne rzeczy więcej zajmujące. Znasz je pan do-

brze, tylko taisz się z niemi, jakby nikt o tem nie wiedział.

— Nie rozumiem, co pan chcesz przez to powiedzieć.

— Co ja chcę powiedzieć? To tylko, o czem już wszyscy wiedzą, o czem cały Berlin gada.

— Honorem ręczę, że nic nie wiem o co idzie.

— Jakto? to pan nie wiesz, co wszystkim wiadomo, o czem już cały Berlin wie, że się pan starasz o rękę panny Wilhelminy?

— Co ja?

— Tak jest, pan. Wszak widocznie czynisz, co możesz, by zbliżyć do rodziców i ich córki, i żeby im się przypodobać. Jesteś człowiekiem ze wszech miar godnym i uczciwym, i to ci toruje drogę; mieszkasz pod jednym z nią dachem, przyjmujesz po trosze nasze obyczaje, ubierasz się po naszemu....

— Ale bo inaczej nie mogę; czynię to tylko na wyraźne żądanie Pana Sztolcego.

— Panie Berdysz, na co mi to ukrywać? i tak już cały świat widzi, z czego się rodzice cieszą, z czego się sama panna Wilhelmina szczyci! Przyznam się Panu otwarcie, żeś mnie uprzedził. Przeklęty wielbłąd popsuł mi szyki,

bobym był inaczej panu tak łatwo nie ustąpił. Ale co robić? Obaj się żenić nie możemy, życzę więc panu szczęścia. Mówilem sam o tem z rodzicami, i od nich właśnie do ciebie idę. Dadzą posągu najmniej trzydzieści tysięcy talarów, a po ich śmierci cały majątek spadnie na ciebie. Cóż chcesz? wszakże to prześliczny interes? Rzuć książki, lepiej gotuj się na zaręczyny.

— Wszystko idzie jak najlepiej — mówił dalej, — jeden tylko, jak słyszę, kładą warunek rodzice, ale i ten łatwo da się wykonać, zwłaszcza że jesteś człowiekiem rozsądnym, i nie przywiązujesz wielkiej wagi do łada chłopskich zabobonów. Ale o tem potem. Rozważ tę rzecz, a ja życzę ci wszelkiej pomyślności. Tylko odważnie, a ładna żoneczka i talarki będą twoje! No, tymczasem bywaj zdrów, a zapraszam się na wesele.

To powiedziawszy, pan Kurcer opuścił Kazimierza.

Jakby gromem rażony pozostał Berdysz. Nie wiedział czemu się miał więcej dziwić, bezczelności zalotnika, czy słów jego treści. Nie pojmował, jak człowiek co przed niedawnym jeszcze czasem ubiegał się o rękę dziewczyny, dziś z taką obojętnością, lekceważeniem prawie

mógł jej odstępować drugiemu, — nie pojmo-
wał zarazem, co pana Kurcera mogło być ośmie-
lić do tego, żeby jemu właśnie prawić podobne
rzeczy.

Przywołał sobie na pamięć całe swoje po-
stępowanie z domem państwa Sztolców i różne
okoliczności z czasu pobytu swego w ich domu,
i teraz dopiero zrozumiał poufałość panny Wil-
helminy, jej prośbę przed oną przejażdżką ów
krzyk, kiedy padał pod konie, jej troskliwość,
list do domu, podarunki — wszystko jasno sta-
nęło teraz przed jego oczyma. Przypomniawszy so-
bie i własne nierozważne słowa o służbie całe-
go życia, które sobie Wilhelmina zupełnie ina-
czej tłumaczyła, aniżeli on sam myślał, przypo-
mniawszy sobie błogosławieństwo jej matki i nazwę
syna, i onę pierwszą wycieczkę w świat boży
w ich towarzystwie, i poznał, że mimowoli nie
chcąc i nie wiedząc o tem, zaprzedał swe serce.
— I komu zaprzedał? szlachetnej, wprawdzie
i przywiązanej do niego dziewczynie, ale nie ro-
zumiejącej mowy jego siostry, nie modlącej się
jak ona do Panny Najświętszej — bogatej wy-
chowanej jak księżna. Czyżby mógł swej po-
czciwej matce, swemu staremu ojcu taką syno-
wą przywieść do chaty?! Nie, nigdy! pomyślał.
— Ale kto wie jeszcze, czy słowa Kurcera nie

były tylko fałszem, może szyderstwem, może przechwałkami człowieka, co będąc pewnym zdobyczy mniemanego współzawodnika swego jakby na drwiny nią częstował? — i zapewne tak będzie, myślał sobie, a nie inaczej. Pan Sztolce, znam go, nigdyby na taki związek nie zezwolił. Wszakżem ja chudy pacholek, a on lubi grosze, bo mnie nawet choremu przypominał, że on jest panem mego rozumu i mej pracy. Więc najlepiej będzie, że odtąd o ile się da, unikać będę wszystkiego, coby ich utwierdzić mogło w mniemaniu, że się staram o rękę panny Wilhelminy.

Tak myślał i rozumował Kazimierz, lecz niepodobna mu było zupełnie odłączyć się od pożycia z rodziną Sztolców. Mieszkając z nimi pod jednym dachem, jedząc z nimi u jednego stołu, codzień z nimi kilka razy się schodził. I spostrzegł, jak matka, a nawet i ojciec jawnie prawie do coraz bliższej poufałości go przypuszczali, jak panna Wilhelmina wcale już nie ukrywała przed ludźmi, że jej serce do Kazimierza należy, jak mu wszyscy prawili rzeczy, które go tylko w coraz to większy kłopot wprawiały.

Ażeby więc raz na zawsze wszelkim domysłom tamę położyć, ażeby rodziców z fałszywej drogi sprowadzić, postanowił Kazimierz przy

pierwszej lepszej sposobności rozmówić się z panem Sztolcem, otworzyć mu oczy, i całą prawdę powiedzieć, że to czego od pana Kurcera się był dowiedział, żadnej a żadnej podstawy nie miało. W tym celu udał się do księdza Marka, aby zasięgnąć jego rady przyjacielskiej.

Ksiądz Marek pochwalił jego postanowienie, tylko mu zalecił, aby swoje oświadczenie uczynił w sposób oględny, tak iżby pan Sztolce obrażony nie odjął mu jego korzystnej a dla rodziców prawie koniecznej posady.

I z tem postanowieniem wracał Kazimierz do domu po drodze tymczasem inne mu znowu do głowy zakolały myśli.

— Dobrze radzić księdzu Markowi, — pomyślał sobie, — kiedy on nie chorował w ich domu, nie był pielęgnowany jej ręką, nie zawdzięcza jej zdrowia, nie poczuł jej przyjaznej dłoni nad znużonem swem czołem, nie słyszał od niej jak ja, że umrzeć dla mnie gotowa. I jabym miał zawieść jej uczucia, miał zranić jej serce? Nigdy! wszystko poświęcę a nie ustąpię — Rodzice przebaczą, gdy się nauczy po polsku; gdy posag wniesie do domu zabezpieczający im na zawsze starość spokojną. — Ale czy ona nas zrozumie? czy zechce pójść do Polski, czy przyj-

mie moje wiare? Czy znowu pan Sztolce nie oddali mnie z domu, jeżeli ufność jego córki zawiodę? A moi biedni rodzice? — Jednak przeniosę śmierć nad takie związki...

Tak bijąc się z myślami, szedł dalej nie zważając na przechodzących, gdy w tem poczuł, że go ktoś pod rękę uchwycił.

Obejrzał się, — był to pan Kurcer.

— Jakto? zawołał tenże, pan tak zamyślonny idziesz: że ledwo swoich znajomych poznajesz? No! nie dziwota, kto zakochany, to zadumany! Jakże, czy już po oświadczeniu?

Widok tego człowieka żywo poruszył Kazimierza; więc sucho mu odrzekł:

— Ani myślę.

— Figlarz z pana! zagadnął go znowu pan Kurcer. Boisz się pan? Głupstwo! Odwaga, to grunt w takich interesach, a wszystko będzie dobrze. Jeśli pan chcesz to powiem ci, jaki to warunek stawiają rodzice!

Kazimierz znieczcierpliwiony jego natręctwem wyrwał mu rękę i rzekł:

— Dziękuję panu! Nie potrzebuję żadnego warunku, — i poszedł sobie dalej.

Pan Kurcer stał zdziwiony i myślał sobie: Widać przebiegły to lis! Widocznie już na wszystko przystaje, tylko zdradzić się nie chce.

Kazimierz w największem rozdrażnieniu wrócił do swego mieszkania, a tu zastał list leżący na stoliku. Poznał pismo księdza Wojciecha; skwapliwie je rozpieczętował i wyczytał co następuje:

Kochany Kazimierzu!

Niedoścignione są drogi Opatrzności! Przygotuj się na okropną wiadomość, którą ci donoszę. Wczoraj w nocy wybuchł ogień u Twoich rodziców. Pomimo szybkiej pomocy i wszelkiego ratunku pożar wzmógł się przy wielkiej burzy, zniszczył do szczętu i dom i wszystkie zabudowania gospodarskie razem z inwentarzem. Rodzice twoi nieszczęśliwi ledwo z życiem uszli. Ratuń czem możesz! a Bóg synowi za ofiary dla rodziców czynione pobłogosławi.

Ksiądz Wojciech.

Kazimierz osłupiał. Stał jak wryty, — list z rąk upuścił, potem za chwilę zerwał się nagle, rzucił się do swojej komody, wydobyl z niej sześćdziesiąt talarów — wszystko co miał u siebie, — siadł, napisał list do księdza Wojciecha, włożył weń pieniądze, i zapieczętował... Ale cóż to znaczyły te 60 talarów, kiedy szkoda jego rodziców kilka a może kilkanaście ty-

sięcy złotych wynosiła! Te 60 talarów ledwie że mogły wystarczyć na pierwsze najkonieczniejsze potrzeby, na niezbędne odzienie, na najęcie gdzie jakiego szczupłego mieszkania, na łyżkę strawy.... i nic więcej! Nic na posag biednej siostry, nic na podniesienie domu, nic na pobudowanie stajni, stodół, zasiek i innych gospodarskich budynków! Te sześćdziesiąt talarów były niczem, zkąd tu wziąć więcej pieniędzy?

I zadumał się biedny Kazimierz, ... patrzył na swój list, i stał długo nieruchomy, blady, a usta mu drgały i zsiniały, a oczy w list wlepione słupem mu stanęły. Ktoby go był w tym stanie widział, sądziłby, że to trup stoi. Ach! bo okropna toczyła się w jego piersiach walka. Po chwili przyszedł do siebie, westchnął, głęboko, zerwał się i wybiegł na ulicę. Pobiegnął najprzód na pocztę, aby list oddać, a potem pędził do domu pana Kurcera. Zastał go samego, a ledwo przywitawszy się, drżącym zapytał głosem:

— Jaki to warunek kładą państwo Sztolcowie, bym został ich zięciem?

— Aha! warunek? ot bagatela, — odrzekł pan Kurcer. — Ale pan jesteś mocno zmieniony, blady, ... co panu jest? No!... no... uspo-

kój się, panna Wilhelmina będzie twoją żoną,... tylko powoli, nie tak zapalczywie!...

— Ale warunek!... warunek!... na miłość Bozką mów pan!

— Ot, bagatela! obstają zatem, abyś pan wyrzekł się swojej wiary i został Lutrem.

— Co co pan mówisz? — w największym uniesieniu zawołał Kazimierz, — ja wyrzec się mam swej wiary?

— Tak jest, odparł zimno i z szyderczem uśmiechem pan Kurcer, tego jedynie żądają, a o ile ich znam, nie odstąpią od tego.

Zachwiały się nogi pod Kazimierzem, ledwie zdołał wyjść na ulicę. Widział przed sobą nieszczęście, jakie nad nim i nad jego domem zawisło; czuł, że temu nieszczęściu mógłby zaradzić, lecz zbyt straszny był środek do ocalenia się, gorszy od samego nieszczęścia. I szedł sam nie wiedząc dokąd; potracali go przechodnie, a on tego nie czuł, w głowie mu szumiało... i tak biegł dalej i dalej bez celu, aż spostrzegł się, że wyszedł był za miasto. Tu sobie przypomniał, że powinien był o tej porze pracować w zakładzie, więc wracał powoli ku domowi. Chciał już z siebie zrobić ofiarę dla rodziców, poświęcić się dla nich, chciał się ożenić z Niemką i Luterką, aby swoich wydobyć

z nędzy; chciał kochającą go dziewczynę ofiarą własnego serca uszczęśliwić, — ale nie spodziewał się, aby tak oburzający postanowiono mu warunek. I przypominał sobie co mu ojciec mówił owego ostatniego wieczora pod lipami:

— Jeśli by tobą kiedy świat zachwiał, wspomnij sobie na bliźnę mego oblicza, na tę lipę starą przedziurawioną kulą najeźdźnika.

— Ach ojcie! zawołał sobie, tyś życie swoje narażał w obronie ojczyzny i wiary świętej, a jabym tę ojczyznę i wiarę świętą miał zaprzedać za marny pieniądz? Czybym przez to nie zasłużył sobie na twoje przekleństwo?

Zaiste ogromny ciężar zwałił się na serce biednego Kazimierza: rodzice jego znikąd inąd, jak tylko od niego mogli się spodziewać i mieli prawo spodziewać się pomocy; i widział ich przed sobą bardzo, bardzo biednych: widział matkę z dziećmi płaczącą, ojca pod ciężarem nieszczęścia upadającego, a nie mógł im pomóc, chyba z utratą czci i wiecznego zbawienia! Zaiste straszne to było położenie, okropny stan Kazimierza!

Przyszedłszy do kantoru, pracował mechanicznie, pisał i rachował, cyfry i litery mieszały się przed jego oczyma, ani nie zajrzał do pań-

stwa Sztolców. Wieczorem przyszedł do swego pomieszkania, ale i tu nie miał spokoju; wyszedł więc na ulicę, biegał po mieście, znękanym powrócił do domu. Rzucił się ubrany na łóżko... i zasnął.

XIV.

Aniół Pański.

Ale sen jego był niespokojny i mało go pokrzepił; bo jak na jawie dusza jego miotana sprzecznemi uczuciami ciężką odbywała walkę, tak też i we śnie walka ta nie ustawała; duch jego wzburzony nie mógł się uspokoić, i straszniemi przez całą noc trwożył go obrazami. Zdawało mu się we śnie, że wracał do rodziców, i kiedy już blisko był ich mieszkania, spostrzegł nagle, jak pożar ogarniał ich dom i wszystkie budynki. Chciał wołać o pomoc, ale głosu z piersi nie mógł dobyć, — chciał sam ogień zalewać, ale kropli wody znaleźć nie mógł, — biegł do Wisły, a i Wisła była wyschła. Przy pada napowrót do miejsca pożaru, ale już wszystko było spłonęło; ojca tylko i matkę wynędznionych i łachmanami okrytych, stojących z za

łamanemi rękoma na dymiących jeszcze zgłiszczach. Chce do nich przyskoczyć, ale w tem ojciec tak groźnie spojrzał na niego, że stanął jakby do ziemi przykuty i z miejsca ruszyć się nie mógł. Na wskroś przenikniony widokiem znędnionych rodziców, a więcej jeszcze groźną ojca postawą, pada na kolana, oczy dłońmi zakrywa i woła:

— Ojczy mój, cóżem ci takiego uczynił, żeś tak na mnie zagniewany? Wszak chciałem cię ratować, ale nie było sposobu!

Ojciec milczał chwilę, potem odwracając się od niego, ponurym rzekł głosem:

— Wyrodek — i westchnął ciężko.

Poczem jakby lekki obłoczek podesłał mu się pod nogi i unosił go ku górze. Kazimierz w rozpaczy zerwał się, wyciągnął ręce ku niemu i zawołał:

— Ojczy nie opuszczaj mnie w takim gniewie! Powiedz, czego chcesz odemnie?

Na te słowa piorun z grzmotem wypadł z chmurki między zgłiszczce, zamącił żarem, iskry prysnęły na wszystkie strony, a wśród tego grzmotu i tego zamięszania dosłyszał Kazimierz słowa ojca, który groźnym głosem mu odpowiedział:

— Wiary ojców twoich!

Na te słowa przebudził się Kazimierz, zerwał się z łóżka, i na wpół senny powtórzył te słowa:

— Wiary ojców twoich.

Przetarł oczy, spojrzał na około siebie i przekonał się, że to wszystko było snem; ale podumawszy chwilę, westchnął sobie i rzekł:

— Był to sen ale i nie sen!

I zaczął porównywać wszystkie okoliczności swego snu ze smutną rzeczywistością, i tłumaczyć sobie jego znaczenie. Widział rodziców pogorzałych, w nędzy okropnej, w łachmanach, a znikąd pomocy nie mieli, jak tylko od niego; on ich musiał, on powinien był ratować.

— O Boże! pomyślał sobie może oni rzeczywiście nie mają nawet dobrego odzienia, a tu już rankiem szrony bywają, już deszcze nastaly; może nie mają przy czem się ogrzać, może razem z dziećmi skuleni i zgłodniali siedzą przy obcym stole i ognisku! Trzeba ich ratować na wszelki sposób.

Lecz coż mógł znaczyć ten głos ojca wśród błyskawic i piorunów żądający odemnie wiary ojców moich? To pewno tylko senne złudzenie! Rodzice w oczywistym nieszczęściu, w naglącej potrzebie, której koniecznie zapobiedz

trzeba, choćby to i zbawienie duszy mej miało kosztować! Rodzice czekać nie mogą!

Niebaczny Kazimierz! Do jakiego bluźnierstwa popychała go rozpacz! Uniesiony chwalebną zresztą miłością ku rodzicom, zapomniał o tem, co Pan Jezus powiedział:

— Jeżeli kto ojca albo matkę kocha więcej nademnie, nie jest mnie godzien, — zapomniał, że i dla najświętszej sprawy nie godzi się nigdy grzechu popełniać, a tem mniej wiary się swojej wypierać! Ten głos ojca we śnie był to głos jego sumienia, był to głos Boga!

Ale darmo! Kazimierz już nie był panem siebie; rozpacz a może i namiętność go zaślepiły, obydwie nim rządzą. W pierwszej chwili przeląkł się swych własnych słów, które był dopiero wyrzekł, ale wkrótce zreflektowawszy się, począł się tem pocieszać, że przecie duszy jego jeszcze nikt nie żąda.

— Tego warunku, mówił sobie, żebym został lutrem, nie słyszałem od samego pana Sztolcego; może pan Kurcer się mylił, może z zazdrości zmyślił ten warunek, aby nie odstręczyć! Być może, że pan Sztolce nie będzie żądał wyparcia się mojej wiary.

Biedny Kazimierz nie mógł jeszcze przypu-

ścić, aby było prawdą, że za rękę Wilhelminy żądają od niego odstępstwa od wiary świętej; jeszcze łudził się nadzieją! Żeby przecie raz dowiedzieć się prawdy, postanowił uczynić krok stanowczy.

Po południu już nikogo w kantorze się nie spodziewał, ukończywszy pracę, postanowił udać się do samego pana Sztolcego i z nim się rozmówić. Zebrał całą swą odwagę i Boga wezwał na pomoc, bo ta chwila miała stanowić o losie całego jego życia, i o szczęściu lub nieszczęściu jego rodziców!

Przyszedłszy do państwa Sztolców, zastał całą rodzinę w domu. Po krótkim przywitaniu oświadczył, że chciałby z panem Sztolcem pomówić na osobności. Panna Wilhelmina, widząc poważne oblicze Kazimierza, przeczuwała, że to rzecz o nią idzie, zapłonęła rumieńcem, zbladła, spojrzała raz jeszcze na swego ulubionego, a wzięwszy matkę za rękę, wyszła z pokoju.

Pan Sztolce bardzo uprzejmie prosił Kazimierza, aby mu swoje życzenie wynurzył. Ten bez ogródki rzekł:

— W ważnej przychodzę do pana sprawie. Jestem Polak, więc mówię otwarcie, szczerze. Znana mi przychylność żony i córki pańskiej dla mnie; nadto mówiłem z panem Kurcerem,

a ośmielony jego słowami które nie wiem, czy są istotnie prawdziwe, przychodzę prosić pana o rękę panny Wilhelminy.

Na to odrzekł pan Sztolce:

— I ja też panu odpowiem otwarcie, że tak godnego zięcia jak pan, poczytuję sobie za wielkie szczęście i zaszczyt. Przyjmuję pana. Daję posagu gotówką trzydzieści tysięcy talarów, a po naszej śmierci cały majątek spadnie na naszą jedynaczkę. Wiem, że ani memu zakładowi, ani mojemu imieniu nie zrobisz wstydu.

— Nieskończeniem panu zobowiązany za tak przychylną i pomyślną odpowiedź, rzekł na to Kazimierz, ale nie wiem, czy na tem rzecz skończona. Pan Kurcer wspomniał mi, że pan stawiasz jakiś warunek.

— A tak! rzekł skwapliwie pan Sztolce, musisz pan przyjąć naszą religię.

— Jest to dla mnie warunek niepodobny do wykonania, — odparł Kazimierz; — nie obstawaj pan przy nim. Jeżeli być nie może, aby córka pańska została katoliczką, to niech wreszcie panna Wilhelmina zostanie przy swojej, a ja też przy swojej religii.

— To być nie może! rzekł pan Sztolce. Od dziada pradziada familia Sztolców była luterską.

— A moja, rzekł Kazimierz, od dziada pradziada była katolicką.

— Ja nie odstąpię od swego.

— Panie! przez litość nad własną córką, przez litość wreszcie nad moimi zubożałymi rodzicami, ustąp pan!

— Sądzę, — rzekł na to pan Sztolce, że tem łatwiejszą będzie dla pana ta ofiara, iż ją czynisz dla dopełnienia świętych obowiązków względem swoich rodziców, o których nieszczęściu się dowiedziałem.

— Czyliż nie byłoby to okrucieństwem, — zawołał w zapale Kazimierz, — chcieć korzystać z czyjego nieszczęścia, aby go zmuszać do porzucenia religii?

— Panie Berdysz, odrzekł sucho pan Sztolce, proszę się nie zapominać; nie przystoi mu taka mowa w moim domu. Mówię panu otwarcie. Kiedym pierwszy raz poznał skłonność mojej córki do pana, chciałem go natychmiast wydalic z swego domu;... dziś żałuję, że tego nie uczyniłem. Ale interesa moje, pozornie tak świetne, popsuty się były, choć nikt o tem nie wiedział, — ty jeden mógłś mnie od upadku uratować, i dla tego zatrzymałem cię. Później, kiedym znów stanął na nogi, oddalić cię było za późno; niestety, zbyt ulegałem żonie, a

ona swej córce! Nie pozostawało mi, jak zatrzymać cię u siebie, a gdy uczucia mej córki ku tobie się nie zmieniły, przyjąć cię wreszcie za zięcia.

— Ale już z góry wyraźnie zaprzysięgłem żonie, że inaczej tego nie uczynię, jak że ty zostaniesz tu z nami, i że naszą przyjmiesz wiarę. Sam wiesz, że niewielkim jestem obserwantem; nie widziałeś, żebym kiedy szedł do kościoła; ale interesa moje, stósunki, wstyd przed przyjaciółmi, spokój na starość, nie pozwalają mi dla ciebie czynić się wygnańcem we własnem gnieździe. A to przecież pojmujesz, że do waszej pustyni, do waszych dzikich lasów też nie pójdę. — Wreszcie nierozsądny z ciebie człowiek; — przyjmiesz wiarę naszą tak oto dla pozorów, a potem po ślubie rób co ci się podoba, zostań wreszcie znowu katolikiem, — ani się o to będę troszczył. — No! czy zgoda?

Na te słowa weszła matka z córką. Kazimierz spojrzał na pannę Wilhelminę; śmiertelna bladość okrywała jej lica.

— No! czy zgoda? — powtórzył pan Sztolce, oto twoja narzeczona!

Kazimierz na ten widok zadrżał, zbladł, powstał chwilkę, a potem nagle zawołał:

— Ojcie mój, matko moja! Straszną dla

was czynię ofiarę! i nie pożegnawszy się, wybiegł jakby cały, pułk szatanów gonił za nim.

Powrócił do swego mieszkania. Padł na kolana przed obrazem Boga-Rodzicy, patrzył w jej święte oblicze; ale twarz tej Królowej niebieskiej zdawała się zimna i blada, a oko Jej jakoby płakało pod upadkiem jednego z najwierniejszych synów. Kłęczał tak dosyć długo, ale nie mógł myśli skópić, ani się modlić. Nie doznawszy więc pociechy, zerwał się Kazimierz i wybiegł na ulicę, ciężko dysząc jak zbrodniarz, którego prowadzą na stracenie. — Bo też w piersiach biednego Kazimierza wrzały burza i zamieć, i miotaly nim jak fale morskie małym rzucają statkiem, którego załoga z trwogą i rozpaczą widzi blizką skałę, o którą musi się roztrzaskać i zaginąć w głębokościach morza!

Z początku szedł Kazimierz dość szybko, później zwolnił kroku, stanął i zamyslił się, biegł prędzej i znowu stanął! — nogi drętwiały, siły go opuszczały. ach! bo szedł do pastora luterskiego, aby się wyrzec wiary ojców swoich, i teni okupić spokój Wilhelminy, i pomyślność swoich rodziców!

Idąc tak niepewnym krokiem, przechodził koło kościoła świętej Jadwigi, do którego tak często chodził, w którym tak często gorące mo-

dły do Boga zasałał..... i teraz tego Boga miał się zaprzeć, miał już na całe życie pożegnać się z tą świątynią! I stanął przed bramą kościoła, i oparł rozpaloną głowę o jej drzwi żelazne, — okropny ból uchwycił go za serce, i prawie od zmysłów odchodząc zawołał:

— Boże mój! Boże! Świat mnie porywa, a znikąd porady ni ratunku! Ratuj mnie, Panie!

Wtem usłyszał głos dzwonka, — dzwoniło na „Aniół Pański.”

Zerwał się Kazimierz, zdjął czapkę, oko jego wzniosło się ku niebu, złożył ręce, i zawołał:

— Matko Bozka, to głos zmiłowania Twojego! — padł na kolana i zaczął na głos odmawiać „Aniół Pański.”

Gdy skończył, odezwał się głos obok niego „Amen!” Obrócił się Kazimierz i ujrzał księdza Marka zalanego łzami. Kazimierz rzucił mu się na szyję, całował ręce jego, i płakał i śmiał się, albowiem czuł się już ocalonym! Ksiądz Marek z zdziwieniem i żalem spoglądał na niego, — nareszcie rzekł:

— Bracie mój! strapione musi być serce twoje. Chodź do mnie i uspokój się!

I poszedł Kazimierz z księdzem Markiem i długo u niego bawił; a kiedy od niego wy-

szedł, to jakby już nie ten sam: oblicze jego pogodne, oko spokojne, pierś swobodna, krok pewny, — taki wracał do domu.

Ponieważ już było późno, położył się spać. O! jakże spokojnie i smacznie usnął, jakże miłe sny przedstawiały się jego duszy! Obudził się prawie już późno, zeskoczył z łóżka, zmówił poranną modlitwę i jął się ubierać. Ale jak? Poszedł do komody, otworzył szufladę i wyjął zawiniątko, rozwinął je, a polska czamara roztoczyła swoje fałdy, żupan ukazał gęsty rząd guziczków, zabłyszczała srebrna sprząga u pasa.

O jakże swobodnym czuł się Kazimierz w tym polskim stroju! I poszedł tak do pana Sztolcego. Ten spojrzał zdziwiony na niego, zapomniał języka w gębie, stał z otwartymi ustami i czekał, co mu Kazimierz powie, a ten przemówił do niego w te słowa:

— Przychodzę panu podziękować za wszystko dobre, czegom w jego domu doświadczył, i zarazem oświadczyć, że tak jak pan wiary ojców swoich chcesz nieskazitelnie dochować, tak też i ja moich ojców wiary do śmierci dochowam. Rodziców moich dotknął pożar; idę im dopomódz, opuszczam więc pana i Berlin. Książd Marek da tymczasowo na moje miejsce zastępcę, i zajmie się spieniężeniem niektórych moich

ruchomości. Życzę panu szczęśliwego powodzenia, a paniom zasałam ukłony.

Pan Sztolce oniemiał... stał, słowa nie rzekłszy.

Kazimierz pokłonił mu się, odszedł do swego pokoju, wyjął swój tłumoczek, i zapakował co najpotrzebniejsze rzeczy. Tymczasem nadzedł ksiądz Marek; rozmówili się krótko. Kazimierz wziął tłumoczek na plecy, kij w rękę, ucałował ręce kapłana, a wzięwszy jego błogosławieństwo, puścił się w drogę do Ojczyzny.

XV.

Zakończenie.

W małym domku w Górze siedziało sobie wieczorem parę osób naokoło stołu. Starzec z białemi kędziorami na głowie i z kresą na twarzy, widocznie ojciec całego domu; obok niego niewiasta, jego żona, także już w latach kobieta; dalej dziewczica młoda i dorodna, a obok niej dziarski, około dwunastoletni chłopiec. Była to rodzina Stefana Berdysza, siedząca przy wieczerzy. Mleko stało na stole w misce, a na niej oparte cztery łyżki i bocheneczek chleba. Podniósł się Stefan, przeżegnał się i wszyscy za nim, a odmówiwszy modlitwę wzięli się do jedzenia. Próżną miskę i okruszyny z chleba sprzątnęła Jadwiga.

Wstawszy od stołu, rzekł stary Stefan: — Jutro spodziewam się listu od Kazimierza; powiedział mi ksiądz Wojciech, że pisał do niego.

— Ach! biedny Kazimierz, rzekła matka,

zmarłwił się pewno bardzo na wiadomość o naszym nieszczęściu, żeby tylko nie zachorował!

— Niechże go Bóg zachowa! rzekł na to ojciec, — on naszą jedyną pociechą; mając jego, nie czuję mego ubóstwa.

Ledwie co tych słów domawiał, kiedy coś zakłatało do drzwi. Stefan rzekł:

Któżby tak późno nas odwiedzał? Idź, Tadeuszu, zapytaj się.

Wyszedł Tadeusz; za chwilę usłyszano okrzyk jakoby wielkiej radości, a zaraz potem ukazała się we drzwiach postać naszego pocziwego Kazimierza.

— Mój synu! krzyknął Stefan.

— Moje dziecko! zawołała matka.

— Braciszku kochany! krzyknęli — Jadwiga i Tadeusz. — I ściskali się i całowali, płakali, i Bogu dziękowali za tę niespodzianą radość.

Czyjeż pióro zdoła opisać wesele, które w tej małej chacie panowało! Jeszcze tego wieczora całe miasteczko dowiedziało się o powrocie Kazimierza, i kilku sąsiadów i sąsiadek przybyło zaraz powitać go. Cały dom pełen szczęścia i radości. Do północy Kazimierz musiał rozpowiadać o swoich podróżach, przygodach, naukach, zatrudnieniach, — ale o Berlinie jakoś niewiele mówił.

Wkrótce wziął się Kazimierz do podźwignienia domu i gospodarstwa ojcowego. Przywiózł był z sobą około stu talarów, zebranych od różnych dłużników; do tego ksiądz Marek ze sprzedaży jego rzeczy i zaległej pensyi przysłał mu wkrótce około dwieście talarów. Lecz to wszystko jeszcze nie wystarczyło. Pojechał więc ksiądz Wojciech z Kazimierzem do Warszawy do pana Andrzeja. Ten, bardzo ucieszony z przybycia Kazimierza, chętnie przystał na ich prośbę, i dał mu jako pożyczkę dość znaczną sumę.

Przy tej sposobności Kazimierz na chwilę wstąpił do tokarni pana Karóla. Cóż za radość tam była, gdy go dawni towarzysze zobaczyli, — jakże się szczególniej pocziwy Piotr Stropski ucieszył! Lecz Kazimierz nie miał czasu; przywitał ich i pożegnał — tylko Piotrowi polecił pozdrowić żonę i Zosię, i dodał, że wkrótce ich odwiedzi.

Zaczęto więc budować; sprowadzono cieśli, mularzy i robotników, kupiono parę koni, dwie krówki, i już Stefan z dobrą otuchą i z wesołą miną zaczął na nowo gospodarować. A jeśli kto chwalił jego ładne koniki lub krówki, tedy mawiał: To mój Kazimierz mi je kupił! —

Powoli wznosił się dom, powoli wzniosły się i inne zabudowania.

Kazimierz zaś urządził sobie tymczasem mały warsztat. Z początku szło mu, jako nieznanemu, ciężko; lecz skoro się na jego robocie poznano, tyle się zaważyło zamówień do niego, że musiał przyjmować czeladników, aby wszystkiemu podołać. Wreszcie i rodzice i on sam uważał, że miasteczko Góra za małe było dla jego przemysłu i zdolności. Stało się, że Kazimierz urządziwszy ojcu gospodarstwo, przeniósł się do Warszawy i tam założył tokarnią pędzoną przez maszynę parową.

Kiedy tak pewnego dnia znużony po pracy, zapisawszy wydatki i dochodyienne, z zadowoleniem i dziękczynnem westchnieniem do Boga zamknął swe książki do bióra, przypomniały mu się one chwile, kiedy tak jako pełnomocnik pana Sztolcego cudze sprawy z równą obrabiał gorliwością.

— Co oni tam robią? — pomyślał sobie, — co robi biedna panna Wilhelmina? Czy aby żyje jeszcze?

W tem otworzyły się drzwi, i wszedł listowy Maciej.

— Już ten to musi być dobry; daleko panna szukał! Adresowany do Góry, błędził po

Wielkopolsce, poszedł w Sandomierskie, aż po miesięcznej wędrowce dochodzi dziś pana.

— Czy franko?

— A jakże!

— No, ale weźcie to Macieju na piwo, może dobre jakie nowiny.

Kazimierz odpieczętował, i oto co wyczytał:

„O swoim ożenieniu z Panną Wilhelminą Sztolce ma zaszczyt zawiadomić Szanownego pana

szczerzy jego przyjaciel

Kurcer.”

Spojrzał Kazimierz na datę, — już od sześciu tygodni list pisany.

— A więc, nie umarła, pomyślał sobie i za niego nawet za mąż poszła! — i łza się zakręciła w jego oku, spadła na papier, a z tą łzą spadł też wszystek ciężar z serca Kazimierzowego. I ukląkł, i modlił się gorąco.

I tego samego dnia, kiedy Stropsy razem sobie siedzieli w domku starego garbarza, wszedł Kazimierz z rozpromienioną twarzą. — Zerwała się Zosia, hoża już teraz dziewczica, wybiegła mu naprzeciw, ale nawet wstrzymała się zarumieniona po uszy i stanęła zakłopotana, nic nie mówiąc. Kazimierz powitawszy rodziców, zapytał się córki:

— Czy Zosia mnie pamięta jeszcze? Czy nie zapomniała?

— O! nigdy! — odpowiedziała szczerze dziewczyna.

— Kiedy tak, rzekł Kazimierz, to przyszedłem was, drodzy rodzice, prosić o rękę panny Zofii. Dajcie mi ją i przymijcie mnie za syna.

Tak rodzice jak córka z największą radością przyjęli oświadczenie Kazimierza, i myślano już tylko o weselu.

I tak się stało, jak ksiądz Wojciech, ufny w łasce Bożej, był przepowiedział. Pięknego jednego wiosennego poranku wiele wozów zajechało przed nowy, ledwie co ukończony dom Stefana.

Byli to goście przybyli z Warszawy; każdy z nich miał bukiet weselny przy boku. I przybył Kazimierz z swoją narzeczoną Zosią, przyjechali Stropscy, przybył i stary garbarz z swoimi nieodstępniemi stu Krakusami i wielu innych znajomych i towarzyszków Kazimierza.

W izbie czekał na wchodzących Stefan z żoną, świątecznie ubrani. Wszedł Kazimierz z Zosią.... uklękli przed rodzicami,.... a za nimi uklękła druga para, — była to Jadwiga, siostra Kazimierza, i pan Bartłomiej, najdorodniejszy młodzian i jeden z najmajętniejszych gospo-

darzy miasteczka, — i odebrali błogosławieństwo od rozrzewnionych rodziców.

Kiedy się zabierano już do kościoła, trzpiot Tadeusz nadbiegł do Kazimierza, a uśmiechając się figlarnie zawołał:

— Braciszku, czy mam się przebrać za gila i śpiewać ci w kościele do ślubu?

— Milcz niecnoto, — ofuknął go ojciec rozbawiony tym żartem, — jeśli nie chcesz, żeby cybuch berliński był w robocie!

Teraz obie pary wraz z całą kalwakadą drużbów i licznych gości zajechały szumnie do kościoła, gdzie ksiądz Wojciech uszczęśliwiony Kazimierzowi z Zosią, a Jadwisi z Bartłomiejem ręce stułą związał, i połączył ich na całe życie świętym węzłem małżeństwa. A potem tak huczne odbyło się wesele, tak obficie było jadła i napoju, tak ochoczo szły śpiewy i tańce, iż po dziś dzień jeszcze komoszki tameczne mają sobie co o niem opowiadać, jako o niezwykłym w ich mieście wypadku.

W krótkim czasie zasłynęła tokarnia Kazimierza na kraj cały, — szło mu wybornie, spłacił długi dla rodziców zaciągnięte, a Bóg mu błogosławił.

Błogosławił mu, bo Kazimierz bał się Boga, miłował rodziców i kochał Ojczyznę; błogosławił mu, bo mimo najtrudniejszych okoliczności zachował obyczaje ojczyste i świętą wiarę ojców swoich.

(KONIEC.)



